

Sternik

dwutygodnik dla młodych Warszawa

ROK II Nr. 9

10-go MAJA 1930 R.

CENA 50 GROSZY.

MOCNI LUDZIE

Nie wiem, czy były kiedykolwiek w dziejach naszych czasy tak bardzo „współczesne” jak obecne. Nasze życie społeczne zmieniło się tak bardzo, nasze pojęcia tak odbiegły od pojęć naszych przodków, że odsuwamy od siebie jaknajdalej wspomnienia minionych dziejów, a chcemy wdychać w siebie atmosferę współczesności. Jesteśmy, my młodzi, nowymi ludźmi nowych czasów i nowe chcemy tworzyć rzeczy. W zapale tym pragnęlibyśmy skończyć jaknajprędzej z rozpamiętywaniem przeszłości, ze studjami nad literaturą naszą ubiegłych wieków, mówimy nawet czasem, że nas ta przeszłość nic nie obchodzi.

A jednak właśnie w imię tych nowych prądów chcę dziś nawrócić do przeszłości, do czasów, które były również prześlągnięte nawskroś ideą rzeczy nowych, i które były kiedyś równie „współczesne” jak nasza epoka.

Przed tygodniem obchodziliśmy uroczyste Święto Narodowe.

W latach niewoli było to najdroższe nasze święto — przypominało nam ono, że były w naszej przeszłości chwile jasne i wielkie, zgnębionemu przez obcą przemoc narodowi dodawało wiary w siebie. Ale dziś, dziś słyszy się nieraz, że święto 3 maja straciło swe znaczenie, przecież mamy już nowe państwo, nową Konstytucję... Tak, ale święto 3 maja, to nie pamiątka wielkiego wysiłku narodu, to wskazanie, jakimi drogami w zbiorowej pracy iść musimy, aby państwo do coraz większej potęgi dochodziło. Święto 3 maja, to pamiątka naszego największego zwycięstwa, zwycięstwa lepszych sił w narodzie nad tem, co było ciemne, złe i sprzedajne.

W każdym narodzie, w każdym społeczeństwie, znajdują się rzeczy złe; wszędzie walczyć trzeba z głupotą i słabością. Nie osłabiamy wiary we własne siły wspomnieniem tego, że mieliśmy Suchorzewskich i Targowiczan, pamiętajmy, że mieliśmy Reytanów i konfederatów Barskich. Wierzymy w to, że zawsze wszystkim prądom, które będą naszą Rzeczpospolitą chciały osłabić i zniszczyć, przeciwstawimy silną wolę mądrej twórczości.

Dzieje uchwalenia konstytucji 3 maja, to dzieje zmagania się interesu ogółu z interesami poszczególnych ugrupowań. Dlatego też Święto Majowe nie straciło nic na swojej aktualności. W naszym dzisiejszym życiu państwowym czeka nas jeszcze niejeden wielki wysiłek, niejedno wyrzeczenie się własnych dążeń dla dobra ogółu. Umieliśmy wtedy, będziemy umieli i dziś.

Przyjrzyjmy się uchwałom Wielkiego Sejmu — zrozumiejmy ich wagę. Naród, który od czasu Ludwika Węgierskiego odzwyczaił się od płacenia większych podatków, ten naród nakłada na siebie ciężary podatkowe, aby tylko zapewnić sobie silną armję. Tylko silna armja bowiem jest nawet do dzisiejszych czasów, rękojmią spokoju i potęgi państwa. Przyzwyczajona do nieograniczonej niemal swobody szlachta odstępuje od liberum veto. Każdy składa ofiarę ze swych poglądów lub tradycyjnych zwyczajów.

Ten sam naród, który tak nie lubił zmieniać swoich ustaw, ten sam naród uchwała, że Konstytucja ma być zmieniana co 25 lat. Twórcy jej widzą niedoskonałość swych uchał, wiedzą, że życie wysunie konieczności dalszych zmian.

Skąd powstał tak wielki wysiłek, gdzie wychowali się ludzie, którzy tak wielkiego dzieła dokonali? Przywódcy Wielkiego Sejmu, to ludzie przez Konarskiego wychowani, ludzie dla których służba obywatelska była najwyższem prawem. Ludzie światli, którzy zaletami umysłu i charakteru umieli wybić się na czoło narodu.

Ludzi mądrych mieć może każde społeczeństwo i każda epoka, ale ludzi którzy nie zawahaliby się przed tem, aby na swoje barki wziąć odpowiedzialność za cały naród, takich ludzi niewielu mamy w dziejach. I dlatego rozważając dzieło 3 maja chylimy głowy przed mocą i wielkością tych, którym starczyło mocy na to, aby dla dobra całego narodu wziąć na siebie wielkie decyzje i tem swoim niezachwianem stanowiskiem innych za sobą pociągnąć.

W. P.

MAHATMA GANDHI

Przywódca niepodległościowego ruchu Indyj, Mahatma Gandhi został w dn. 5 maja r. b. aresztowany przez władze angielskie.

Mohandas Karamhan Gandhi urodził się w miasteczku Porbandar nad wybrzeżem morza w Indiach północno-zachodnich 2 października 1869 r. i należy do religii Dżainów, u których podstawą bytu jest Ahimsa, czyli litość i nieczynienie zła żadnemu stworzeniu. Ożeniono go, gdy miał lat 13, i już jako osiemnastoletni ojciec rodziny wyjechał na studia uniwersyteckie do Anglii, gdzie ukończył wydział prawny. Po powrocie od kraju zajął się adwokaturą. W 1893 r. został wezwany jako obrońca swych ucieśnionych współrodaków do Afryki Południowej, gdzie pozostawał przez 20 lat, z których kilka w więzieniu, aż do uzyskania zupełnego równouprawnienia swych ziomeków z innymi poddanymi Imperjum Brytyjskiego.

Przyglądając się stosunkom, doszedł do przekonania, że naród indyjski jako całość nie istnieje, i że należy go stworzyć. Na przeszkodzie scalenia stały dwie zasadnicze sprawy: wrogi stosunek wyznawców rozmaitych religij, w pierwszym rzędzie Muzułmanów i Brahmanistów, i stosunek członków kast względem t. zw. parjasów (ludzi poza kastami), uważanych za nieczystych, którzy liczebnie (150 milj onów) stanowią blisko połowę ludności Indji. Zmierzając do usunięcia tych przeszkód, Gandhi rozpoczął od zbliżenia się z Muzułmanami. Zaprzyjaźnił się z ich przywódcą Maulanem Ali, a jednocześnie został pomocnikiem, przyjacielem i prawą ręką przywódcy Hindusów Lakomanji Tilaka.

Dotychczasowa praca Gandhiego, przepojona duchem ofiarności i miłości bliźniego, wytworzyła około niego atmosferę czystości i wzniosłości, która była ważnym momentem przy ustalaniu się jego autorytetu wśród rodaków. Wyrazem sympatii do Gandhiego było powszechne ogłoszenie go Mahatmą, czyli Wielkim Ojcem, przeciw czemu zresztą niechętny do wszelkiego wywyższania się Gandhi gorąco protestował. To też kiedy on, syn wielkiego rodu, przyjmuje do domu własnego i adoptuje sierotkę-parjaszkę, a następnie sam zamieszkuje między parjasami, by uczyć ich miłości dla kraju i jedności wszystkich Hindusów, fakty te, pomimo że były wbrew zwyczajom, uświęconym przez wieki, nie wywołały najmniejszego sprzeciwu, a przeciwnie znalazły naśladowców. Wiele rodzin patrycjuszowskich zmienia swe postępowanie względem parjasów, a wrażenie, uczynione na samych parjasach, jest niesłychane.

Anglicy tymczasem aresztują Tilakę, skazują go na 6 lat więzienia, i w tem więzieniu umiera wielki mąż hinduski, Gandhi zaś zajmuje jego miejsce. Wierzy on Anglikom i sądzi, że w drodze pokojowej uda mu się uzyskać dla Indji samorząd, a za swój obowiązek uważa tylko przygotowanie kraju do niezawisłości. W czasie wielkiej wojny udaje mu się uzyskać od rządu obietnicę, że, jeżeli Indje wystawią pół miliona wojska, to otrzymają autonomję. Na wezwanie Gandhiego zgłasza się nie pół, lecz półtora miliona ochotników, idących na śmierć z wiarą, że krwią swoją okupują wolność ojczyzny. Anglicy jednak nie dotrzymują przyrzeczenia, a przeciwnie wydają prawa bardziej jeszcze srogie od dotychczasowych i obciążają kraj rujnącymi i ściąganiem bezlitośnie podatkami.

Teraz dopiero zrywa Gandhi z Anglikami i ogłasza swoją sławną „Satjagrahę”. Jest to opór bez gwałtu i rewolucja bez przelewu krwi silniejszego. Nie wolno przelać ani jednej kropli krwi ciemiejszy, a należy go traktować z miłością i najwyszukańszą uprzejmością; gdyby zaś została przelana krew własna, to ofiarę taką należy ponieść z poddaniem, bez protestu i bez szukania odwetu.

Na wszechindyjskim kongresie w Nagpur ogłoszona zostaje „Satjagraha”, mającą trwać aż do uzyskania autono-

mji, a Gandhi ogłoszony zostaje dyktatorem Indji. Wydaje on zarządzenie, aby wszelkie otrzymane przez hindusów ordery, odznaczenia i t. p. zostały odesłane rządowi; by młodzież ucząca się została wycofana ze szkół, — w zamian zakłada Gandhi liczne szkoły ludowe i dwa uniwersytety narodowe, te ostatnie wprawdzie pod gołym niebem, ale na to nikt nie zwraca uwagi; by wszelkie stanowiska rządowe zostały przez Hindusów opuszczone, na razie jednak z wykluczeniem wojska, a to w celu nie dopuszczenia do dezercji. Ogłasza wreszcie bojkot, mocą którego nie tylko nie wolno kupować towarów angielskich, ale nawet nie wolno sprzedawać Anglikom surowców. Jednocześnie ogłoszona zostaje „swadeszi” — samowystarczalność. A gdy już wytworzono zapas materiałów na własne potrzeby, polecono palenie na stosach wszelkich materiałów angielskich, poprzednio posiadanych. Wszystkie te zarządzenia zostają wprowadzone w życie, a każdy Hindus, nie stosujący się do nich, uważany jest za renegata i zdrajcę sprawy narodowej. Poza tem zaś nakazana zostaje wszędzie i zawsze najwyższa uprzejmość dla Anglików, ze zwróceniem uwagi na to, że trzeba być przygotowanym na prześladowania, a nawet na śmierć, że jednak wszelkie prześladowanie przyjmować należy z radością, uważając je za radosną ofiarę, składaną na ołtarzu ojczyzny. Kiedy zaś w stosowaniu się do powyższych zarządzeń naród da dowód dojrzałości, ogłoszony będzie ostateczny etap ruchu: odmowa płacenia podatków. Pierwej jednak naród musi dojrzeć do samorządu, pozbyć się wszelkich namietności, bowiem te ostatnie stwarzają atmosferę pełną niepokoju, a somrząd w takich warunkach gorszy byłby od niewoli.

Strajk urzędników i policjantów, a więcej jeszcze bojkot towarów, były wielkim ciosem dla rządu. Zostają przeto wydane ostre prawa, na skutek których więzienia prędko się przepełniają, ale powiększa to tylko koszt administracji i nie osiąga żadnego celu. Nareszcie generał Dyer, fanatycznie nie-nawidzący Hindusów urzędu w Jalljanwala Bagh rzeź, strzelając do tłumu bez uprzedniego wezwania aż do wyczerpania amunicji. Ofiarą padło przeszło 600 zabitych mężczyzn, kobiet i dzieci i 2000 rannych, ale w tłumie tym był Gandhi, i na jego rozkaz nikt się nie cofa, nigdzie niema sprzeciwu ani paniki. Dopiero, gdy strzały ustały, Hindusi otaczają żołnierzy i zamykają ich w domach, przepraszając za to uprzejmie, a wypuszczając na wolność po skończeniu zebrania. Opinia społeczna w Anglii jest po stronie Gandhiego i żąda ukarania generała Dyera, jako sprawcy zajścia; Gandhi natomiast nie oskarża go, prosząc tylko o wycofanie go z Indji. Rząd jednak aprobeuje w całości postępowanie generała, przyznaje mu odznaczenie i pozostawia nadal na stanowisku.

Aczkolwiek jednak tam, gdzie był obecny Gandhi, wszystko odbyło się podług jego zamierzeń, — gdzie jego nie było zdarzały się — zupełnie zresztą dla nas zrozumiałe — akty gwałtu i wybuchy wściekłości. Nikt nie boleje nad tem tak głęboko, jak sam Gandhi, który uważał rzeź w Jalljanwala Bagh za zdarzenie radosne, i kiedy w Amritsar doszło do zamordowania 10 policjantów angielskich, Gandhi ogłasza pięciodniową żałobę narodową i cofa już przygotowane zarządzenie niepłacenia podatków. To wywołuje szemrania przeciw dyktatorowi i może nastąpiłby rozłam, gdyby nie to, że Anglicy aresztowali Gandhiego i drugiego przywódcę Maulana Alego. Przed sądem przyjmuje Gandhi na siebie całkowitą odpowiedzialność i zostaje skazany na tę samą karę, co poprzednio Tilak, t. j. na 6 lat więzienia w odosobnieniu. Wyrok ten, zamiast zmniejszyć jego wpływ, wywołuje obwołanie Gandhiego wcieleniem Boga-Avatarem (a on już nie ma możliwości protestować) i wpływa na wzmocnienie poczucia łączności wszystkich Hindusów. Wielki autor hinduski Rabindranath Tagore, który do tej pory był przeciwnikiem postępowania Gandhiego, obecnie przechodzi na jego stronę.

Więzienie, w którym Gandhi jest trzymany, staje się miejscem pielgrzymek, i ludzie czują się uświęceni całując jego mury.

W styczniu 1924 r., w czwartym roku pobytu w więzieniu, Gandhi niebezpiecznie zachorował, był w bardzo złych warunkach operowany i bezpośrednio po operacji, w stanie, nie rokującym żadnej nadziei utrzymania go przy życiu, został zwolniony z odsiadki reszty kary i — prawie konający — wydany w ręce rodziny. Ale Gandhi, aczkolwiek bardzo wyczerpany fizycznie, wyzdrowiał i powrócił do swej pracy nad oswobodzeniem kraju z dawnym poświęceniem.

W czasie, kiedy Gandhi był zamknięty w więzieniu, ruch, przez niego zapoczątkowany, uległ załamaniu. Powstały partje, które stworzyły własną ideologję i wykreśliły inne drogi do niezależności Indji. Postawione było Anglikom ultimatum w sprawie przyznania autonomji z terminem do Bożego Narodzenia 1929 r., a kiedy rząd angielski do tego terminu nie uczynił nic dla złagodzenia sytuacji, partje połączyły się, i znów proklamowano Gandhiego dyktatorem, a od marca b. r. rozpoczął się znów bojkot i ogłoszono odmowę płacenia podatków.

— — ooo — —

Taktyka Gandhiego, oparta całkowicie na przykazaniu miłości bliźniego, a tak żywo przypominająca czasy pierwszych

Z CYKLU O WYBORZE ZAWODU.

ZAWÓD LEKARZA

Zanim przystąpię do omawiania zawodu lekarza, pragnę choć w paru słowach omówić same studia na wydziale lekarskim, ponieważ jest bardzo ważną rzeczą, aby przed rozpoczęciem studiów, dokładnie zdać sobie sprawę z czasu ich trwania i systemu, że tak jest, świadczą najwymowniej często obserwowane w życiu akademickim fakty kilkakrotnego przenoszenia się z wydziału na wydział. Rezultatem tych przenosin, wywołanych najczęściej właśnie niemożnością przystosowania się do systemu studiów na danym wydziale jest strata wielu lat, a częstokroć i zupełne zniechęcenie do studiów wyższych.

Obecnie studia na wydziałach lekarskich bywają 16 trimestrów (rok akademicki podzielony jest na 3 semestry) po przesłuchaniu których uzyskuje się absolutorjum i należy zdać egzaminy końcowe w liczbie kilkunastu. Oczywiście, że po każdym roku obowiązują egzaminy rygorozalne z ważniejszych przedmiotów przesłuchanych w ciągu tego roku.

Co do ogólnego kierunku studiów to pierwsze dwa lata są przeznaczone na przygotowanie słuchaczy do klinik, które rozpoczynają się po tak zwanym półdyplomie, czyli po przesłuchaniu 2 lat i zdaniu egzaminów z chemji nieorganicznej, organicznej, lekarskiej, fizyki, anatomji i t. p. Oczywiście, że ze wszystkich ważniejszych przedmiotów trzeba odrabiać w ciągu roku zajęcia praktyczne zabierające dużo czasu.

Pierwsze lata są zazwyczaj niespodzianką dla idących na medycynę „z zamiłowaniem”. Uzbrojeni w zasadę, że „sztuka lekarska to łagodzenie cierpień ludzkich” rozpoczynają studia i przekonują się, że rok za rokiem mija, a oni nie widzą nawet chorych i tracą czas na „obkuwanie” różnych chemji i fizyk, i bezradnie załamują ręce na widok niespodziewanego omdlenia, nie wiedząc co robić w tym wypadku.

Oczywiście może to trochę zniechęcić do dalszych studiów.

Również częstym argumentem dlaczego ktoś rzucił rozpoczęte studia lekarskie bywa prosektorjum. „Nie mogłem przyzwyczaić się do prosektorjum”, lub tem podobne zwroty słyszy się dość często pragnę więc zatrzymać się chwilę nad zajęciami z anatomji opisowej, pod znakiem której upływają dwa pierwsze lata studiów.

Pierwszy dzień prosektorjum jest zazwyczaj dość ciężki. Samo zbliżenie się do zwłok ludzkich, pierwsze cięcie skalpela znaczące długą brózdą powłoki tego, co kiedyś było żyjącą myślą i cierpiącą istotą, robi przykre bardzo wrażenie.

chrześcijan, wydaje się dziwną nam, ludziom cywilizacji zachodniej, którzy tak w życiu prywatnym, jak i w ustawodawstwie publicznym stosujemy się raczej do prawa Mojżeszowego „oko za oko — ząb za ząb”. Cały ten ruch, kierowany przez Gandhiego, jest w naszym znaczeniu zupełnie acywilizacyjny. Dla ilustracji tego twierdzenia niech posłuży fakt, że, kiedy po ogłoszeniu bojkotu towarów angielskich rozważano sprawę założenia własnych fabryk manufaktury, Gandhi stanowiąc przeciw temu zaoponował, i zauważył, że prędzej zgodziłby się na sprowadzenie towarów z Anglii, niżby miał dążyć do zakładania wielkiego przemysłu w Indjach. Stanowisko, tak różne od europejskiego, jest skutkiem przyczyn, nagromadzających się i wpajanych w ciągu wieków. Podczas gdy celem cywilizacji europejskiej jest udogodnienie bytowania fizycznego, — dla Indusa życie zewnętrzne ma znaczenie bardzo podrzędne, istotną zaś treścią życia jest wyzwolenie ducha z więzi cielesnych. Życie więc jest tylko przygotowaniem się do śmierci, która znów jest tylko zmianą formy bytu.

Przy takim pojmowaniu życia jednostkowego przez Indusów i przy powszechnym przekonaniu tłumów, że Gandhi jest wcieleniem Boga na ziemi, ruch, kierowany przez niego ma wielkie widoki powodzenia.

Wl.

Stopniowo jednak wrażenie to słabnie i uważam, że każdy człowiek choćby nawet bardzo wrażliwy może się opanować i przezwyciężyć. Potwierdza to moje powiedzenie fakt, że z grupy, w której rozpoczynałem zajęcia prosektoryjne nie odpadł nikt, choć było w niej kilka wrażliwych niewiast.

Jak już wspomniałem w ciągu studiów trzeba wiele czasu poświęcić na zajęcia praktyczne, tak, że bardzo trudno jest zarobkować w tym czasie. Podkreślam to dlatego, że widziałem kilka wypadków, gdzie koledzy, mimo kilkuletnich studiów zmuszeni byli porzucić medycynę, ponieważ musieli pracować na utrzymanie swoje i rodziny. Wogóle zaznaczyć trzeba, że strona materialna przy wyborze studiów lekarskich odgrywa dużą rolę, gdyż nawet po otrzymaniu dyplomu w myśl obowiązującej od lipca r. b. ustawy młody lekarz musi odbyć bezpłatną roczną praktykę szpitalną zanim uzyska prawo praktyki.

Reasumując: studia lekarskie są ciężkie i długie, ale zato chyba niema zawodu, który dałby tyle zadowolenia wewnętrznego, co zawód lekarza.

Każdy uśmiech odzyskującego siły po ciężkiej niemocy chorego, każde spojrzenie matki dziecka przywróconego życiu, każdy zabieg udany — wszystko to są chwile sownie wynagradzające przykre strony zawodu lekarskiego. Bo i stron przykrych jest dosyć, i czasami wiele potrzeba siły i hartu, że by wytrwać i nie ustawać w pracy.

A teraz, nie wdając się w zbytne szczegóły, omówię kilka ważniejszych typów lekarza, zależnie od dziedziny pracy, której się poświęcił.

1. Lekarz higienista.
2. Lekarz praktykujący.
3. Lekarz pracujący na polu naukowym.
4. Lekarz wojskowy.

Do pierwszego działu należeć będą wszyscy lekarze miejscy i fabryczni, badający warunki zdrowotne mieszkań i fabryk. Oczywiście, że lekarze ci nie mają prawie zupełnie styczności z chorymi. Nieco inaczej przedstawia się praca lekarza powiatowego, tu do kontroli stanu higieny miasteczek i wsi dochodzą jeszcze zajęcia z dziedziny sądowo-lekarskiej. (sekcje nagle zmarłych, ofiar nieszczęśliwych wypadków, lub mordów). Poza tem zazwyczaj chwile wolne od pracy sanitarno-administracyjnej w wielu wypadkach musi lekarz powiatowy poświęcić wolnej praktyce. Do działu lekarzy higienistów zaliczyć należy i lekarzy szkolnych. Oczywiście, poza

kontrolowaniem stanu higieny szkoły, musi dany lekarz kontrolować stan zdrowia powierzonej sobie młodzieży — jest więc niejako przejściem do następnej grupy lekarzy praktykujących.

I tu trudno właściwie do jednej zaliczyć grupy lekarza prowincjonalnego i mieszkającego w dużym mieście lekarza specjalistę np. chirurga.

Łączy ich jedna rzecz, mianowicie praktyka, jednak praca ich jest zupełnie różna. Lekarz prowincjonalny, zmuszony do udzielania porad w zakresie wielu specjalności, skazany jest na ciągłe wyjazdy do chorych, często bardzo uciążliwe, pracuje sam, gdyż część zaledwie pacjentów, w razie ciężkich przypadków, może skierować do szpitala, lub do pracowni analityczno-lekarskiej, lub rentgenologicznej. Nic więc dziwnego, że na lekarza prowincjonalnego trzeba mieć dużo pewności siebie, dobre zdrowie i szybką orientację, bo wiele razy wypadnie wykonywać trudne i skomplikowane zabiegi w warunkach fatalnych. Najgorszą jednak rzeczą jest to, że rzadko kiedy lekarz prowincjonalny może zarazem pracować w szpitalu i uzupełniać swoją wiedzę

Inna rzecz specjalista w mieście, ten może pracować w szpitalu, bywać na posiedzeniach towarzystw lekarskich, ma możliwość kontrolowania swych dajagnoz rentgenem i badaniami pracownianami. Tu jedno jeszcze chciałem zaznaczyć, że kończąc medycynę, nie ma się żadnej specjalności i specjalność wyrabia sobie lekarz pracą w danym dziale, pracą zazwyczaj conajmniej kilkuletnią. Do obecnej chwili jeszcze sprawa ta nie jest definitywnie załatwiona, należy się spodziewać, że w najbliższym czasie zostanie określony prawnie sposób specjalizowania się w różnych dziedzinach medycyny. Jedno tylko trzeba zaznaczyć, że każda specjalność zasadniczo nieco innych wymaga kwalifikacji od lekarza.

I tak chirurg i akuszer muszą posiadać szybką decyzję, zręczność i siłę. Trudno np. wyobrazić sobie drobną i słabą kobietę, jako chirurga. Inaczej przedstawia się pedjatrja t. zn. choroby dziecięce — tu przede wszystkim trzeba umieć zdobyć sobie serce dziecka i matki. Co do innych specjalności, to nie wdając się zbytnio w szczegóły, można powiedzieć, że okulista i otolaryngolog nie mogą mieć bardzo krótkiego wzroku, a internista musi mieć dobry słuch.

Lekarz pracujący na polu naukowym jest może najbardziej godny szacunku i uznania. Cicho, bez rozgłosu, częstokroć z narażeniem własnego życia, posuwa krok za krokiem naukę, i nieraz jeden genialny projekt jakiejś szczepionki, czy swoistego leku ratuje życie wielu tysiącom ludzi.

Muszę jednak zaznaczyć, że właściwie praca naukowa nie wymaga zupełnego zerwania z wolną praktyką i inną pracą zarobkową, przeciwnie pożądaną jest, aby każdy lekarz, jeżeli tylko okoliczności na to pozwalają, zajmował się choć trochę pracą naukową.

Co do lekarza wojskowego, to właściwie trudno omawiać tę grupę jako jednolitą, bo praca sanitarno-lekarska w armji ma całą moc najróżniejszych gałęzi, gdzie wszystkie specjalności i wszelkie naszkicowane przeze mnie typy lekarza znajdują pole do działania. Jeżeli więc wyodrębniam typ lekarza wojskowego, to tylko ze względu na specjalne warunki. Lekarz wojskowy jest jednocześnie oficerem i o tem musi pamiętać każdy kandydat na lekarza wojskowego. Tu muszę zaznaczyć, że istnieje Wojskowa Szkoła Sanitarna, kształcąca przyszłych lekarzy i uważam, że najkorzystniej byłoby, jeżeli ktoś ma zamiar poświęcić się tej karierze, postarać się o przeprowadzenie studjów w tej uczelni. Oczywiście, że strona materialna studjów w Oficerskiej Szkole Sanitarnej nie odgrywa roli, bo zapewnia ona swym słuchaczom na cały czas studjów utrzymanie, mieszkanie i wszelkie pomoce naukowe, z tem zastrzeżeniem, że za każdy rok studjów po uzyskaniu dyplomu, należy odsłużyć 2 lata w wojsku, jako lekarz.

Teraz trochę o stronie materialnej zawodu lekarskiego wogóle. Tu niestety stosunki uległy zmianie. Tak zwana wolna praktyka, do niedawna stanowiąca podstawę bytu całej

klasy lekarskiej, jest obecnie w wielu przypadkach niewystarczająca, tak że większość lekarzy, zwłaszcza młodych, zmuszona jest do obejmowania porad w Kasach Chorych, przychodniach i t. p., przyczem kobietom-lekarzom trudniej jest znaleźć odpowiednie zajęcie.

Lekarzy jest stanowczo za dużo w wielkich miastach, natomiast na prowincji jest ich za mało.

I jeszcze jedną rzecz trzeba podkreślić: każdy lekarz, a zwłaszcza lekarz na prowincji, jeżeli chce naprawdę godnie spełniać swe obowiązki, musi się zająć pracą społeczną. Bez tego trudno jest wyobrazić sobie dobrego lekarza.

Organizowanie ochron i szpitali, propaganda higieny, walka z chorobami zwyrodniającymi i alkoholizmem — to są sprawy, gdzie przede wszystkim lekarz musi dać inicjatywę i kierunek.

Na zakończenie podaję warunki, jakim mojem zdaniem, powinien odpowiadać kandydat na lekarza: musi on być zdrowy, mieć dobrą pamięć i posiadać zdolność samodzielnego myślenia oraz zainteresowania naukowe, które będą go skłaniały do stałego śledzenia postępów wiedzy lekarskiej. Ludzie niecierpliwi, łatwo się zniechęcający, gwałtownie reagujący na każdy drobiazg, — nigdy nie będą dobrymi lekarzami. I jeszcze jeden warunek, kto wie czy nie najważniejszy: trzeba umieć współczuć cierpieniom innych, trzeba mieć serce.

Reasumując wszystko, powiem, że dobrym lekarzem, może być ten tylko, kto przede wszystkim zasługuje na nazwę dobrego człowieka.

Dr. med. Stefan Ochorowicz



WYCIECZKA NA MONT BLANC

Od czasu, kiedy Benedykt de Saussure organizował swe pierwsze wyprawy na Mont Blanc, wiele się zmieniło. Góry, niegdyś niedostępne, uległy człowiekowi. Znalezione klucze do ich zdobycia — okazała się nim: wytrwała praca nad poznaniem ich tajemnic i praw przyrody, którym podlegają.

Trzeba było poznać „obyczaje gór”, trzeba było nauczyć się rozróżniać, kiedy są one dostępne, a kiedy są nie do pokonania. Trzeba było przyswoić sobie specjalną technikę. W tej technice, najwybitniejsze miejsce przypada budowie schronisk. Schroniska pozwoliły zażegnać najpoważniejsze niebezpieczeństwa długotrwałych alpejskich wypraw, polegających na nagłych zmianach pogody. Niepogoda w wysokich górach, to niezmiennie, zimą czy latem, mgła, śnieg i wichura. Człowiek, którego zaskoczy ona na lodowcu; jest zgubiony. Kończy się wtedy wszelka orjentacja, nie można iść naprzód, bo grożą czeluście lodowe, nie można stać w miejscu, bo grozi zmarznięcie. W odpowiednim miejscu, wśród pustyń śnieżnych postawione schronisko, jest jedynym ratunkiem. Czasem alpinści zmuszeni są i pięć dni z rzędu w nim przeczekać z powodu szalejącej zimy.

Od czasu, gdy niedaleko szczytu Mont Blanc zbudowano słynne schronisko Vallot znikły nieszczeniwe wypadki związane niegdyś z wyprawą na ten szczyt.

Dzisiaj wycieczka na Mont Blanc nie przedstawia specjalnych trudności. Wymaga raczej wytrzymałości, no i rozważnego przygotowania, a nade wszystko liczenia się z warunkami atmosferycznymi.

Mont Blanc, którego wierzchołek z tylu punktów górskich jest widoczny, na którego białej kopule widziało się nieraz pierwsze złote blaski wschodzącego słońca i ostatnie zachodu, nęciło mnie oddawna. Aż jednych wakacji, zostało postanowione: idziemy na Mont Blanc. Funktem wyjścia było Chamonix, słynna francuska stacja klimatyczna, leżąca w dolinie Arwy, na wysokości 1000 metrów nad poziomem morza, u stóp całego masywu Mont Blanc. Z Chamonix ma się wspaniały widok na wierzchołek Mont Blanc i jego najbliższego, również śnieżnego, sąsiada, le Dome du Goûter, a z drugiej strony na sterczące groźnie ostre i poszarpane Igły (les Aiguilles), pomiędzy które wciska się istna rzeka lodowa, „La Mer de Glace”. Samo Chamonix leży w dolinie wśród pastwisk i lasów, do których niebawem nisko (najwyżej w Alpach) schodzą języki lodowcowe.

Przybyliśmy wówczas do Chamonix specjalnie w zamiarze wejścia na Mont Blanc.

Dzień cały zeszedł na przygotowania. Zapasy wzięliśmy dość znaczne, gdyż trzeba zawsze mieć coś „od wypadku”, to znaczy, o ile, w razie niepogody, wypadnie czekać w schronisku. Badamy co chwila barometr. Prognozyki są dobre: była poprzednio kilkudniowa słota, dzisiaj jest dość ładnie, choć pochmurno, a barometr stale i równo idzie w górę. Wszelkie dane na jutro słonecznej pogody. Pomimo drobnego deszczu, który zaczął padać wieczorem, jesteśmy dobrej myśli. Plecak upakowane, mapy szczegółowe, idealnie dokładne, przygotowane, lina, czekany, no i cały górski rynsztunek. Sprawdzamy jeszcze raz obecność rzeczy najważniejszych: busoli, zapalek, latarki i czarnych okularów od lodowca. Wszelkie w porządku. Wstajemy o wpół do 2-giej w nocy, wymarsz następuje o 3-ciej. Chcemy mieć, dużo czasu przed sobą; od wczesnego wyjścia zależy nieraz powodzenie całej wycieczki, zwłaszcza gdy się drogi nie zna i błędzenie nie jest wykluczone.

Pierwsza trudność: wyjść po ciemku z wioski. W tym celu, jeszcze dnia poprzedniego zbadaliśmy, która uliczka wyprowadza na właściwą ścieżkę. Po krótkich poszukiwaniach, znaleźliśmy ją i niebawem, jesteśmy w gęstym lesie.

Trzeba wejść przy pomocy stromej, kamienistej dróżki, na wielką lesistą górę naszym tatrzańskim regłom odpowiadającą i pokonać przytem blisko 1000 metrów wzniesienia. W nocy idzie się lekko i żwawo. Na dworze gęsta mgła i prócz

ścieżki i kamieni nic nie widać. Po wyjściu z lasu, czeka nas nagroda za ten pierwszy trud. Oto nagle mgła opada, rozświetla się, i naszym oczom zdumionym odsłania się cała dolina Arwy, wypełniona białymi obłokami. Istne to morze mgieł, nad którym sterczą poszczególne skalne szczyty. Nie tylko dolina Chamonix jest w morzu chmur, ale i inne sąsiednie, daleko, het, aż po dolinę Rodanu i jezioro Lemańskie, zlewają się w jeden Ocean. Rozpoznajemy poszczególne szczyty: La Dent du Midi, Les Aiguilles, i inne. Po chwili cały ten biały ocean zaczyna różowieć, jaśnieć coraz bardziej — wierzchołki gór zapalają się i, oto nagle, wychodzi z białego morza, złote słońce!

Idziemy dalej. Po opuszczeniu granicy lasów, wchodzimy w głąz i piargi morenowe. Jeszcze trochę wspinania, i dochodzimy do lodowca. Otwiera się przed nami olbrzymie pole śnieżne, do którego zbiegają się lodowce ze wszystkich sąsiednich szczytów. Miejsce to, połączenia największych rzek lodowych, nosi nazwę „la Juction” i jest niesłychanie poszarpane. Pełno tu szczelin, które zdają się otwierać zielonkawo-niebieskie paszcze, pełno teraków (góry lodowe), dochodzących kilkunastu i więcej metrów i wyglądających jak białe domy o spiczastych dachach.

Wiele z nich trzeba było okrażać. Na niektórych szerszych szczelinach były poprzerzucane żelazne drabinki.

Przeprawa przez lodowiec trwa długo, jest jednak bardzo zajmująca, przytem trochę gimnastyki, koniecznej dodaje urozmaicenia. Warunki śniegu doskonałe: twardy, można iść prędko, bez zapadania się. Dochodzimy do schroniska „Les Grands Mulets” wcześniej, aniżeli spodziewaliśmy się. Tu wypada pierwszy nocleg. Jest to sławne w historii wypraw na Mont Blanc schronisko, wybudowane na małej skałce, sterczącej, jak wyspa wśród lodowców. Stamtąd już nieprzerwana zbita masa śniegów wiedzie na sam szczyt Mont Blanc. Bardzo wielu turystów, wybierających się na Mont Blanc, nie dochodzi dalej niż Les Grands Mulets. Jest to pewnego rodzaju próba sił, wytrzymałości na zmęczenie oraz na wysokość (3000 metrów nad poziom morza). Tego dnia zastaliśmy jednego turystę z przewodnikiem. Turysta ten zrezygnował z dalszej wyprawy, a przewodnik wypowiadał przed nami swoje żale z tego powodu i niechęć do powrotu do doliny. Ze zwykłą u alpejskich przewodników w takich wypadkach bezinteresownością i uprzejmością, nie szczędził nam swych rad i wskazówek. „Będą państwo mieli jutro doskonałe warunki; Bez rękawiczek dojdziecie do szczytu (jest to rzecz niebywała, i tylko możliwa, gdy niema wcale wiatru, bowiem na tych wysokościach nawet w lecie temperatura nie sięga wyżej 0°); proszę tylko uważać schodząc z Wielbłądźiego Garbu (Bosse du Dromadaire), tam trzeba być bardzo ostrożnym”.

Mieliśmy później sposobność stwierdzić słuszność jego słów. Wyruszyliśmy znów bardzo wcześnie, dobrym alpejskim obyczajem, o 1-szej w nocy. Nikt więcej nie wychodził dnia tego. Zapaliliśmy latarkę, i ruszamy w czarną noc, w te wieczne śniegi i lody. Teraz dopiero zaczyna się okazywać, jak bardzo męczące jest to wspinanie się w śniegu. Jest od dnia tego o wiele gorszy; po prostu jest ciepły, a zwłaszcza, gdy słońce wstało, nogi zaczęły się zapadać prawie do kolan. Trzeba w ten sposób pokonać 1500 metrów wzniesienia, bez żadnych prawie urozmaiceń. Od śniegu zalanego potokami słońca bije blask niezmierny, od którego chronią na szczęście czarne okulary.

Wznoszenie się odbywa się powoli, mięśnie i płuca do brze się muszą napracować.

Widoki na góry, doliny otwierają się coraz bardziej okazałe, ale w tym momencie jest się opanowanym głównie jedną myślą: chęcią dojścia do celu.

Wreszcie, dźwigając się tak wyżej i wyżej, stajemy przed przełęczą, utworzoną w śnieżnej grani Mont Blanc, skąd będzie można spojrzeć na włoską stronę.

Z prawej strony wyrasta potężna piramida Dôme du Gôûter, z lewej szczyt Mont Blanc. Na tej przełęczy wystaje ze śniegu skalne żeberko: na niem zbudowano cudem wysiłków i pomysłowości małe schronisko: la cabane Vallot. Zaczyna ten Vallot. Co za radość móc teraz wychnąć. Ile pocucia bezpieczeństwa daje nam to schronisko, znajdujące się na zawrotnej wysokości 4360 metrów; o 450 metrów niżej niż szczyt Mont Blanc. Ludzie musieli na plecach przynieść przez lodowiec belki, deski i wszystko, co do budowy było potrzebne, oraz całe urządzenie wewnętrzne chaty. Składa się ona z dwóch izb; pierwsza, jakgdyby sionka, jest całkowicie zasypana śniegiem, pomimo drzwi zamkniętych, śnieg potrafi się przedostać wszędzie niewidzialną dla oka szczeliną; druga, oddzielona mocnymi drzwiami, jest zupełnie sucha. W tej izbie znajduje się rzecz najważniejsza: kuchenka, a obok kociołek na wodę. Dalej stół i krzesła, a tuż obok duże warstwy tapczanów i kilkanaście kołder. Z biedą mogłoby się tam pomieścić jakieś 8 do 10 osób. Obok kuchenki leżała piła, siekiera i drzewo opałowe — skarb największy. Nie użyliśmy go jednak, gdyż nie było zimno, a mieliśmy maszynkę spirytusową do herbaty. Drzewo, które kosztowało tyle trudu, było przeznaczone na wypadek prawdziwej potrzeby.

Wtem schronisku urządziliśmy sobie dłuższy wypoczynek. W pewnej chwili zbliżyłam się do małego okienka, które wychodziło na włoską stronę, i... zdziwiałam. Od okna szła wprost w dół, niemal prostopadła ściana na kilka tysięcy metrów.

Wolałam patrzeć na stronę francuską...

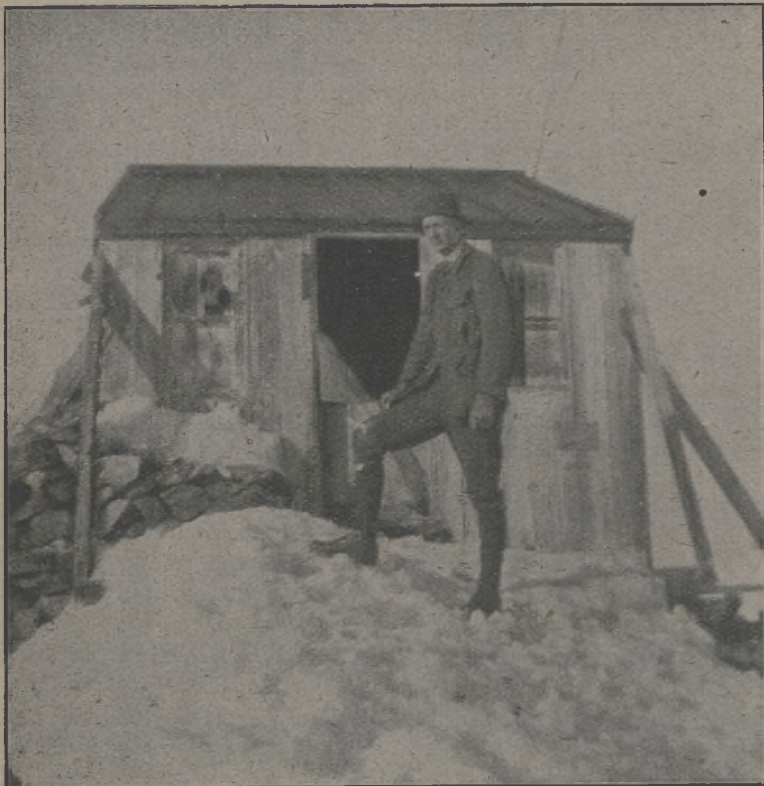
Po trzygodzinnym odpoczynku, ruszamy dalej. Teraz musimy już iść samą granią, aż do szczytu. Skały nie wydobywają się już nigdzie ze śnieżnego okucia. Dlatego też i wysokość Mont Blanc ulega wahaniom, zależnie od mocy słońca i ilości śnieżnych opadów. Na samym szczycie zbudowano kiedyś obserwatorium astronomiczne. Warto było pokusić się, by mieć dane z meteorologii i astronomii na takiej wysokości.

Było ono podobno bardzo piękne. Cóż, kiedy olbrzym lodowiec drgnął sobie tylko, jakby od niechcenia, i całe cacko ludzkie zważyło się jak domek z kart. Widzieliśmy jego rozsypane szczątki: garść patyków i trzasek. Z górami niema żartów: nie na wszystko one człowiekowi pozwolą. Do swych tajemnic dopuszczają stopniowo, powoli, domagając się uznania ich z potęgi i szacunku dla niej. Z wielkim też szacunkiem przystąpiliśmy do drapania się na białą grani. Była na przemian śnieżna i szeroka na jakie kilkanaście kroków, to znów wąska zupełnie i lodowa. Takim właśnie odcinkiem jest najtrudniejszy jej skrawek: Wielbłądzi Garb. Jest to istotny garb grani, tak wąski, że trzeba go okrążyć i potem bardzo stromą, zupełnie lodową ścianą iść do góry. Oczywiście, gwoździe butów nie trzymają w tym lodzie wcale. Trzeba rąbać stopnie. Szczęśliwie dla nas były one już wyrąbane przez poprzednich turystów, i to niezawodnie przez przewodników, jak to wskazywała doskonała technika wykonania. Wystarczyło więc drapać się po nich, wkładając kolejno w nie nogi i ręce z nosem przy ścianie i mając asekurację linową (ma ona tu zresztą małe znaczenie). Dość straszno jest spojrzeć w dół, ma się wrażenie drabiny, tylko pod nogami przepaść. Kryształki lodu, wyrwane butami, suną w dół z niesłychaną szybkością i z głuchym szelestem.

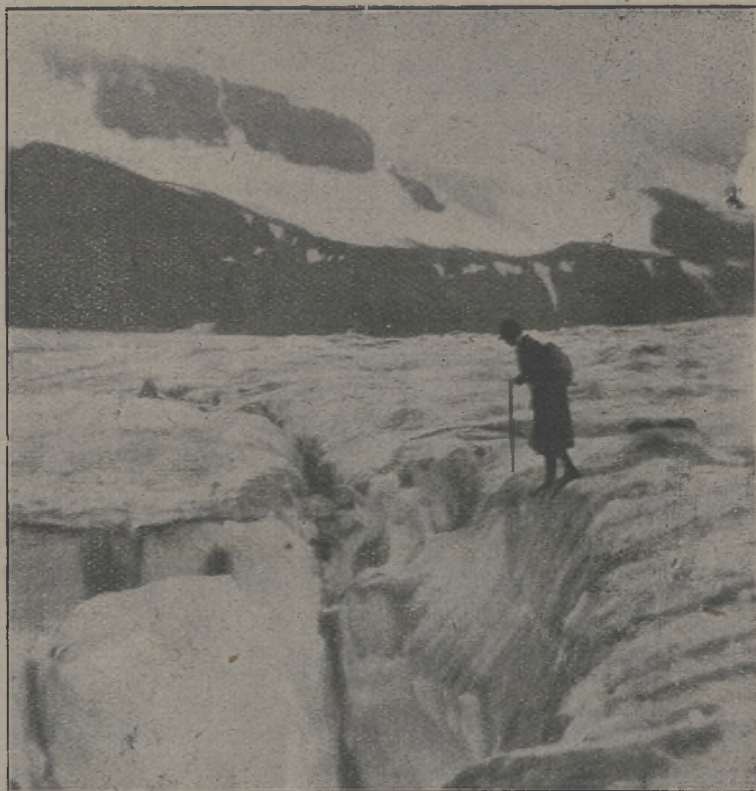
Przynaję, że z uczuciem ulgi stanęłam na Garbie. Teraz jeszcze parę wąskich przesmyków grani, ale zawsze jest miejsce na postawienie i nogi i łaski (znam natomiast granie alpejskie, gdzie mieści się tylko noga, a czekając trzeba trzymać przed sobą lub nad przepaścią). Potem znów grani się rozszerza. W ten sposób dochodzimy niepostrzeżenie do znaczniejszego jej rozszerzenia, a zarazem z bijącym sercem stwierdzamy, że niema jej już przed nami. Jesteśmy na szczycie!

(D. c. n.)

Zofja Wołowska



Schronisko Vallot



Na lodowcu

JAK TO SIĘ ŻYJE W OBOZIE

(feljeton obozowy)

Obóz już był przygotowany na przyjęcie chłopców.

Położony na pięknej, leśnej polanie, na zboczu Lubogoszczy, w atmosferze przepojonej rzeźwą wonią ozonu, zdawał się wyciągać gościnnie ramiona uszeregowanych w dwie linie chat ku przybywającym; białe brezenty osłon deszczowych przychylnie trzepotały się na wietrze, jakby wyrażając radość z czekającego obóz ożywienia podczas letnich miesięcy — po długiej, zimowej martwocie.

Nadeszli wreszcie. Szereg wybladłych, nędznych wymoczaków, zatrutych niszczącym tchnieniem wielkich miast, ze śladami wielu nieprzespanych nocy, spędzonych na „wykuwaniu się” przed promocją.

Przydział do chat, przeważnie paczkami, które już w drodze zdążyły się dobrać, załatwiono sprawnie. Potem „coś przegryźć” — i w obozie zaczyna się ruch na dobre. Starzy bywalcy szukają zmian, ulepszeń — dobierają się w kółka — już zaczynają obmyślać pierwsze „kawały”, — ku przyszłemu utrapieniu dyrekcji i przodowników; ci, którzy są po raz pierwszy w obozie, rozglądają się, „badają teren”, szukają znajomości. Jakiś pędrak z wpiętym dumnie w klapę odznaczeniem obozowym, „brązowym medalem”, stara się zaimponować swą znajomością obozu „długiemu” nowicjuszowi. Kilku zapaleńców „bębni” już w koszykówkę, zapominając o trudach odbytej niedawno podróży.

Czas szybko biegnie. Ściemnia się. Po wczesnej kolacji chłopcy — radzi nie radzi — muszą przygotowywać się do snu. „Trzeba wypocząć, bo jutro od rana zaczynamy żyć trybem obozowym” — brzmi komunikat dyrekcji. Chłopcy, leżąc na wygodnych brezentach, dzielą się pierwszymi wrażeniami. Coraz ciszej ... noc. Szeroko uśmiechnięty księżyc ciekawie zerka na zaróżowione w pokrzepiającym śnie twarze obozowców.

Minęły kilka dni. Chłopcy z prawdziwą łatwością zaaklimatyzowali się w miejscowych warunkach. Nowicjusze, początkowo onieśmieleni, przyzwyczaili się już do obozowego trybu życia, poznali kolegów, przodowników i dyrekcję; uświadomieni przez „starych obozowców”, przestali odczuwać obawę przed pozornie strasznymi kazaniami „Ojca”, dyktującego obozowi, wybrali wśród przodowników swe sympatie i antypatie, zapoznali się z obozowymi „tradycjami”.

Życie barwnie i rozmaicie płynie w obozie. Ujęty w żelazne pozornie przepisy porządek dnia okazał się w zastosowaniu niezwykle urozmaicony. Poranna, kilkuminutowa gimnastyka i zimny, „dla znawców” prysznic, przy świeżym aromacie powietrza dobrze robią na rozprostowanie zastygłych podczas nocy mięśni. Potem zaraz zbiórka na pacierz, „Kiedy ranne” i przyrzeczenie obozowe: wciągnięcie sztandaru — w perspektywie oczekującego gorącego śniadania również dadzą się znieść. Ciąg dalszy wykonywało się z myślą o przyszłości: ponieważ takie rzeczy jak porządkowanie chat i obozu po nocy, dekoracje stołów jadalnych etc., były punktowane przy dziennej inspekcji, a silnie rozwinięta ambicja i szowinizm chatkowy nie pozwalały znaleźć się na szarym końcu w punktacji dziennej i tygodniowej chat, w imię dobra chaty, bez myśli o sobie, pucowało się pomadą od bucików podłogę w chacie, by nadać jej blask wersalskich salonów, trzepało się i przemyślało (ale to tajemnica) skrapiało wodą koce, by przypadkiem inspekcja nie zarzuciła podłodzi złego utrzymania, lub nie wykryła miligrama kurzu w kocu. Niestety, fatum prześladuje każdą chatę; sroga komisja umiała zawsze znaleźć niewyczyszczony, a w ostatniej chwili skryty pod poduszkę bucik, lub zeschnięty listek przed chatą, triumfalnie składając te dowody rzeczowe na środku chaty w asyście ponurych fizjognomji nakrytych tak obozowców. Pozostawała jeszcze nadzieja, że w konkurującej chacie też dość znajda, — ale jeżeli nie?... Całe niezadowolenie z losu przetwarzało się w energię kinetyczną przy doprowa-

dzaniu do porządku obozu; cóż robić, trzeba było przecież „dociągnąć” do chaty, prowadzącej w punktacji.

Czas szybko mija, gdy jest się pod wpływem świętego zapалу dania zadośćuczynienia szlachetnej ambicji okazania się lepszymi od innych. Wprawdzie zdystansowani w dziennym wyścigu zarzucali zwycięscowi złośliwie, że to chodzi więcej o podwójny deser w niedzielę, niż o ideję, ale niech tam... wiadomo, przez zazdrość, ludzką rzecz.

Potem kluby — zło konieczne i dość przyjemne, a wreszcie obiad, przy którym ogromną różnorodnością było otrzymywanie pocztę. Ot, dopiero „wyzerka” dla całej chaty, gdy dbali rodzice, przypuszczając, iż syn głodzi się w obozie, nadesłali mu pacę, pełną wszelkich dobroci! Nie każdy przecież, poza nielicznymi wyjątkami, mógł sobie pozwolić na więcej, niż dwa nugaty dziennie z kantyny obozowej, więc bractwo spragnione bywało słodocy.

Po godzinie ciszy, przeznaczonej na trawienie, pisanie listów, lub zgola nicnieróbstwo, obóz spuszczał chatki, by szaleć na boisku lub urządzać wyprawy wojenne na grubego zwierza, który jakoby ukazał się w pobliżu obozu, lub wieść krwawy taniec wojenny „Komanczów” z trzynastej chaty w oczekiwaniu napadu „Siuksów” z 15-ki. Wtedy okolice obozu, szczególnie bliżej chat młodszych chłopców, rozbrzmiewają bojowymi okrzykami, roją się od „czerwonoskórych”, witających przyjaciół w imię „Wielkiego Ducha”, a wrogów pobudką wojenną. Starsi, wyrosli już z chęci „zdobywania skalpów”, woła boisko sportowe, lub spacerować poza obóz. Zdarza się jednak, że i oni przypominają sobie czasem swoje młode lata, wykonując dzikie skoki tańca „zanzi-banzi” wokół obozowego totemu.



Patrz „Konkurs Domyślności” na str. 16-tej.

Wieczorowe ognisko stanowiło zawrże dla nas sensację dnia. A więc nastrój, który opanowywał wszystkich, gdy płomień ogniska darł się ku niebu z żalosnym trzaskiem pękających w żarze, suchych gałęzi, obrzucając krwawym światłem półnagie ciała setki obozowców i tajemniczy, czarny las, zdający się opowiadać swym poszumem stare dzieje: gdy to harne zbójniki wiedli żywot rozmaity, a niebezpieczny... jak to niedawno jeszcze młodzi, a dorodni juhasi porzucili swe baciówki i stada, by z karabinem w garści uwalniać z oków swą ziemię kochaną... ile to potu, a nieraz i łez serdecznych wyleje góral, nim uprawi swój umiłowany, a kamienisty kawałek pola... ho, ho, ten las dużo wie...

A dalej, pieśni. I nasze, ludowe, wojenne, czasem smutne, czasem wesołe, i nasze, obozowe, zręcznie skomponowane przez domorosłych poetów, a opiewające radości i smutki obozowego życia, i obce, których wyuczyliliśmy się od naszych gości, Czechów, Włochów, Anglików, Amerykan. Wreszcie gazetka obozowa, redagowana przez fachowy komitet, umiejscawiająca zawsze znaleźć w życiu obozowym dziurę w całym, wykopać niewiadomo skąd jakiś szczegół, lub zdarzenie tajemnicze, znane tylko jednostkom i starannie przez nie ukrywane: że np. w obozie powstała banda złośliwa, która postanowiła wykraść obozowcom wszystkie buciki podczas najbliższej nocy... że dowiedziano się, iż na czele tej bandy stoi „gruba ryba” z dyrekcji obozu... że któraś tam chata ma zamiar oblać w nocy wodą swą konkurentkę do I miejsca w Olimpiadzie obozowej... że przodownicy prowadzą jakieś podejrzaną konszachty w ambulanse lekarza... że dyrekcja przygotowała obozowcom miłą niespodziankę w postaci sprowa-

zonego z Warszawy filmu... że obozowy cyrk „Bujdolini” zapowiedział premierę z benefisami wszystkich artystów na najbliższą sobotę... że wreszcie... etc. Jest i dział sportowy, ogłaszający wyniki odbytych ostatnio zawodów w obozie, oraz wesoły kącik, w którym podaje się prawdziwe zdarzenia, dotyczące obozu. Dalej występy artystów chaty przygotowującej program ogniskowy i ogłoszenie wyników inspekcji.

Wreszcie, zmęczeni, ale zadowoleni z życia, zasypiamy twardo, śniąc, iż to może nam w nocy chęć urządzić zdrowotną, zimną kąpiel, lub wykraść najpotrzebniejsze części garderoby i wciągnąć je na maszt sztabu.

Tak płynie życie w obozie, sielsko, anielsko. Czas szybko mija; czterotygodniowy okres zdaje się być chwilą małą — i już zbliża się nieubłagana konieczność powrotu do miasta, do książki i szkoły. Pełni sił, zdrowi, opaleni obozowcy, wyszkoleni w pracy nad sobą i dla innych, nie obawiają się czekających ich trudów. Mimo to jednak, nie należy do przyjemności wciąganie na siebie krępującego, ciasnego ubrania po miesiącu wolności, gdzie za cały strój służyły spodnie i pantofle gimnastyczne. To takt! trudno jednak, taki już jest świat... A pociechy dodaje widok wpiętego w klape obozowego odznaczenia, na które się sprawiedliwie zasłużyło, oraz myśl, ujęta przez kogoś w obozowej piosence:

„Spotkamy się za rok w obozie...”

Chcicie wiedzieć, drodzy przyjaciele, gdzie się spotkamy? W Beskidach, w obozie wakacyjnym Pol. YMCA, koło Mszany Dolnej. Przyjeździecie a nie będziecie żałować, zapewniam was!

„Obozowiec”.

W O B C E M M I E Ś C I E

(Dokończenie)

W pierwszej chwili ogarnęło go przerażenie. Został sam, bez pieniędzy i jakichkolwiek bodaj dokumentów w obcym mieście, bez możliwości porozumienia się z otaczającymi go ze wszystkich stron rozgwarzonymi współpodróżnikami.

— Do licha — zaklął z wściekłością — jak warjat z piórkiem, nawet bez kapelusza!

Ta myśl rozweseliła go trochę.

— Ostatecznie — rozważał — nareszcie przytrafiła mi się jakaś

— Zejście wykonaliśmy dzisiaj solidnie. Porucznik Berlic ani słowa nie mruknął.

— Świństwo!! —

— Co?

— Te postrzelane konie i splamione bandaża na drutach. —

— Czy glizdy przecięte łopatą?

— Kapral nigdy na ryby nie chodził?

Na wilgotnej kartce papieru, ktoś nagryzł ołówkiem — dwudniowy bój o całość republiki — i poniżej nieczytelna data.

Trach, trach — — trach — — —

W błoto sypały się błyszczące łuski od wystrzelonych naboju. Wybuchające granaty dymią na olszynę i odłamki z kruchem klaskaniem wlepiają się w rozmięktą ziemię. Przypominamy sobie, że ogień artyleryjski polega jedynie na rachunku prawdopodobieństwa.

— Celownik osiemset! —

Wiatr spycha chmury na kolorowy pas zachodu i słońce przypomina pomarańczę, leżącą na różowej bibule.

Ponad garbatą linią sosen i chojarów, kołysał się roztrzęsiony dym i rude obłoki pękających szrapneli. Przed nami byli tutaj Niemcy, o czym świadczą trzy krzyże sterczące przy rowach. Michalsky — Bormann — Szelowitz — 12. VI. 1916. — — resztę zmyły deszcze. Łacie leżące gęsto na trawie, przypominają wydeptany dywan w popularnym lokalu.

— Kubuś! celownik osiemset! — Strofuje kogoś kapral Kowalski.

Wybuch odwalił skos rowu na skrócie. Kogoś trafiło i piasek szybko nasiąka krwią. Okryte niebieskim płaszczem nosze, zabrali sanitariusze kucający w tyle rowów. Karabin wyłobiał rowek, który przypomina tor kolejowy w głębokim przekopie.

Moskale wstrzelali się. Tryskała ziemia darta pociskami i wlatywały kółki powiązane drutami. W okopach gromada strzelców trzyma się pod uciążliwym ogniem. Żółte buty i niebieskie płaszcze odcinają się jaskrawo od brunatnej ziemi. Na wzgórzu zamajaczyły sylwetki Moskali

Opowiadanie Ryszarda

W połowie szesnastego roku front przesunął się dalej. Za miesiąc będzie to samo. Rozklekotane wagony i pęki pogryzanych przez wiatr gałęzi. Łamane linie uciekających w dal jaskółek i rude dęby, po których trzepie deszcz rześisty. Skośne smugi pływów i zielonych pól — i te same pola, zaciągnięte śniegiem w zimowych miesiącach. Plecy towarzyszy w deszczowy dzień, kiedy grube krople wody sączą się za kołnierz i błyszczą wyszorowana piaskiem menażka.

Plutonem dowodzi podchorąży Wiecheć, eks-student drugiego roku techniki i kancelista Suk'a *) dwunastej kategorii placu.

Kapral Kowalski opowiada starą jak świat historię nosa Cezara.

— Pamiętniki o wojnie galijskiej przysypał kurz i gnienie odlew Cezara na imitację brązu zrobiony, któremu kuchta utraciła nos przez nieuwagę. Wódz bez nosa, sterczy nadal na stosie zakurzonych tomów. — — —

Brniemy długim szeregiem, obsadzając rowy, opuszczone przez drugą kompanię. Na daszkach czapek narastają brudne, grube krople i zaczyna deszcz.

Okopy opierają się o las, rozrzucony na brzegu, jak wyleniała szczecina na szczytce. Dalej wilgotne olchy i stare sosny, pokryte siwym narostem od północnej strony. Gdzienigdzie sterczały brzozy z czarnymi sopłami na korze, jakby je kto umyślnie wyniósł atramentem.

Przed nami wzgórze spadało w dół gwałtownie i po grzbiecie ziemi zmierzwił garściami traw, przewalały się chmury. Sprawiało to dziwne wrażenie, że tutaj jest kraniec lub początek ziemi.

Kowalski zakasał płaszcz po francusku i ciłapie po rowach swemi rozdeptanymi butami. Starym zwyczajem wygrzebywał patykami, porozcinane łopatą glizdy, które wierciły się w mokrych ścianach rowu. Uważnie wyrzuca w żyto wydłubane z ziemi robaki.

*) Sekcja Utrzymywania Kolei.

przygoda. Głupia wprawdzie i godna co najmniej romantyka, bo żeby przez list do narzeczonej..., no, ale zawsze grzygoda — zakonkludował. Jerzy za pół godziny powinien zadepeszować z sąsiedniej stacji i wtedy policja zaopiekuje się mną i odstawi grzecznie do oczekującego przygo policjant będzie mógł go prowadzić jak aresztanta, a on nie będzie w stanie nic mu powiedzieć. Najprzykrzejsza — właśnie ta opieka — myślał — co by tu zrobić, żeby się od tego uwolnić.

— Dlaczego właściwie nie miałbym zostać na parę godzin trampem? Jadę na gapę do Jerzego (przecież będzie na niego czekać na najbliższej stacji — to jasne), nie można marnować tak doskonale, choć mimo woli zaczętej przygody.

Wolnym krokiem maszerował po peronie szukając tablicy z oznaczeniem czasu przyścia i odejścia pociągów. Znalazł wreszcie i skonstatował, że następny pociąg odchodzi o godz. 1.30 w nocy. Spojrzał na zegarek, była już prawie pierwsza.

Postanowił odbyć spory spacer wzdłuż szyn i wrócić dopiero w chwili odejścia pociągu. Wolał unikać miejsc rzeźnię oświetlonych i policji, zepsuliby mu całą zabawę. A obecnie już bawił się świetnie. Młody, zdrowy humor zwycięsko wyszedł nawet z tej dość ciężkiej próby.

— Nie będziesz się mną opiekował — mruknął przechodząc obok policjanta — ani mowy...

Zwolna odsuwał się od niego jaskrawo oświetlony krąg głównego peronu. Coraz radsze latarnie oświecały długie przeważnie, ciemne budynki stacyjne. Przed nim w oddali migotały kolorowe latarki zwrotnic.

W pewnej chwili spostrzegł pod ścianą jakiegoś magazynu małą ławeczkę. Usiadł i bezmyślnie oczekiwał.

Wlokły się monotonne, długie minuty w półcieniu i pogwarze odległego o paręset kroków dworca. Zygmunt co czas jakiś spoglądał na zegarek i z tępyim uporem obserwował kolorowe latarnie zwrotnic.

Gdzieś w mieście systematyczny zegar odmierzał i dźwiękliwe wybijał minione kwadransy.

Kiedy wreszcie po długim oczekiwaniu zegarek wskazał godzinę pierwszą minut dwadzieścia pięć, Zygmunt jak człowiek zbudzony ze snu wstał z ławki, przeciągnął się i energicznym krokiem podążył w stronę stacji.

Pociąg miał odejść za chwilę. Wszyscy pasażerowie zdążyli się już

ulożować w wagonach. W bladem świetle latarni wyraźnie rysowały się ciemne postacie konduktorów oczekujących służbiście na sygnał odjazdu.

Zygmunt minął lokomotywę i szybkim krokiem zdążył wzdłuż pociągu. W pewnej chwili znalazł pusty przedział. Wszedł doń i przy ciemniejszym świetle ułożył się w kącie. Udawał, że śpi.

Rozległ się sygnał. Pociąg drgnął i ze stukiem potoczył się w ciemną przestrzeń.

Jednostajnie stukają koła wagonów na zmocowaniach szyn. Bezdzwicznie klekoczą obłuzowane szyby okien.

Zygmunt przeciągnął się leniwie.

Jedzie sobie teraz wprost do Jerzego. Nawet gdyby mu chcieli zrobić jakiś brzydki kawał z powodu podróżowania bez biletu będą musieli czekać do pierwszej stacji, a tam kolega go wytlómaczy, sprawa się wyjaśni i zapłaciwszy co najwyżej karę będzie mógł dalej jechać już zupełnie normalnie.

— Byłe tylko listów nie wysyłać — pomyślał z przekorą.

Tymczasem miarowe kołysanie wagonu wprowadziło go w słodkie odrętwienie, tak zwykle w ciągu długich podróży.

Usypiał.

Zbudził go ruch w przedziale. Otworzył oczy i ujrzał mundury kolejarzy.

— Kontrola biletów — myślał — należy udawać śpiącego.

Kiedy nie pomogło kilkakrotne zapytanie konduktor potrząsnął delikatnie za ramię rozspanego, jak mniemał, pasażera przemawiając doń coś po węgiersku.

Zygmunt poruszył się i zaczął przecierać oczy rękami.

Konduktor czekał cierpliwie widząc jednak, że nie został widać usłyszany ponowił wezwanie.

— Czy pan umie po francusku? — zapytał z uśmiechem młody tramp.

Konduktor zaprzeczył ruchem głowy i wymownym ruchem wysuwając przed siebie szczypce wykonał niemi kilkakrotnie ruch, jakgdyby przecinał bilet.

i wypelżyły gęste linie tyraljerów. Walimy salwami. Grzechot salw zlewa się w jedną dziką muzykę.

— Walimy bez żyto! — ryczy ktoś z lewej strony.

Strzelamy prosto w baranie czapki i gęby o skośnych małych oczkach. Zaplątali się w drutach i wyją jak ranne zwierzęta. Kilku ładuje karabiny.

— Bagnet na broń! —

Wiecheć skoczył pierwszy z karabinem w rękę. Za nim poczęli wylażać inni i bryły wilgotnej ziemi odłupywały się pod butami, spadając z pluskiem w błoto. Musimy przeć nieprzyjaciela bagnetem, aż do jego stanowisk.

Na skrócie potknąłem się o ciało jakiegoś strzelca. Opodal leżał naładowany karabin i ktoś bandażował sobie przestreloną rękę.

Przypadamy do ziemi. Salwa — i znowu bryzga woda rozrzucona butami, przez polne rozlewiska cofają się gromady rosyjskiej piechoty i szary opar kołysze się na łąkach.

W kompanji gadają o odwrocie.

— Kroknąć w powietrze?

— Niedźwiedź milczy i rany liże. — — —

— Uważaj, żeby ciebie czasem nie polizną!

— Druga powróci pewnie na przednią linję?

Pod butami płaczą się zdarte ładownice i puste pudełka od konserw. Znowu poczyną padać deszcz i duże, zimne krople sączą się za kołnierz. Podeszły kuchnie polowe i w powietrzu unosi się zapach kapuśniaku. Kuchta siedzi na koniu i kiwa lewą nogą na znak lekceważenia. Od czternastego roku woził jadło pod przednie linje. —

„W okopy, pod ziemię zaparta,

zbiedzona, zbłocona, obdarta, — — —”.

— Trzeba zapleść drutami zasieki. Kapral Kowalski prowadzi naprawę!

Chłopcy biorą kręgi kolczastego drutu i dolatuje plusk butów po błocie. W stronę lasu wydłuża się długi sznur ludzi w burchach szyn-

lach. Jeńcy brną narzekając, że wilgotny tytoń palić się nie chce zupełnie.

Strzelcy leżą pokotem na ziemi. Przyszedł do nas podchorąży Wiecheć. Ma zabandażowaną rękę. Kula zacięła go rekosszetem, odwalając mięso aż do kości.

— Druga powróci na przednią linję?

— Skąd ja mogę wiedzieć.

Gdzieś w austriackim instytucie kartograficznym oznaczał ktoś na mapie małe, niebieskie kwadraty. Niebieskie linje i łuki ze strzałkami, skierowanymi ku łukom i kwadratami czerwonym. Polskie stanowiska w dniu 14. VII. — — To my. Oznaczeni na mapach niebieskim ołówkiem. Szeregowcy pierwszej kompanji i postrzelane konie z wyciągniętymi kopytami, glisty przecięte łopatą i podarte bandarze, zwisające na drutach kolczastych zasieków.

Odwrot. Kompanja wycofuje się marszem ubezpieczonym. Szybko zbieramy plecaki. Podchorąży Wiecheć zostaje z plutonem piechoty. Podaliśmy sobie ręce na pożegnanie. Minął nas gwałtem porucznik Berlic, bryzgając błotem na dążącą piechotę. W okopach pozostało trzydziestu strzelców, Wiecheć i kapral Dobrzański, były praktykant drugiej klasy oddziału nitracji, w fabryce sztucznego jedwabiu.

Deszcz zaczął i wiatr dął z niebywałą siłą, skrzęcając i rozkręcając gałęzie drzew. Na niebie jaśniały łuny i czerwono błyszczała woda w polnych rozlewiskach. W dali dudniły strzały i w polu hukalo, jakby kto rozsypywał drewniane kręgle po stole. Ogień srożył się z niebywałą siłą w stronie, gdzie były ostatnie nasze stanowiska. Strzelcy Piłsudskiego umieją z honorem umierać.

Nad lasem pękła raca, syjąc srebrzystym, drżącym światłem i kreśliły się czerwone błyski sygnałów.

— Front przerwany! — czytał biegle na znakach kapral Kowalski, przerzucając na ramię karabin. Za nami strzelały ognie sygnałowe — ostatni raport służbowy dowódcy czwartego plutonu.

Tadeusz Zambrycki.

— Jestem cizoziemcem — ciągnął dalej Zygmunt po francusku — domyślał się, że chodzi panu o bilet, ale coś zrobić biletu nie mam, a pan i tak nie rozumie co mówię.

— Ależ to świetny kawał — myślał rozbawiony już na dobre zdetonowanymi twarzami konduktorów — coś, jak kinowy dramat.

— No i co teraz — zwrócił się jeden z konduktorów do drugiego.
— Panie oberze, mnie się zdaje, że tu jest coś nie w porządku — perorował drugi — toż on nawet bez czapki jedzie i sam nie wie chyba czego chce. Może on — tu nieznacznie wskazał palcem na czoło.

— Niema co, panie — zdecydował oberkonduktor — załatwimy na stacji. W razie czego oddamy go policji, my nie mamy czasu na takie rzeczy.

Zygmunt nie mógł już dłużej pohamować śmiechu. Istotnie sytuacja była nader komiczna.

— A widzi pan — triumfował wychodząc konduktor — od razu mówiłem!

Skacząc na zwrotnicach pociąg zwalniał biegu. Zbliżali się do stacji.

Zygmunt Korski, obserwowany podejrzliwie przez konduktora, wyglądał oknem upatrując Jerzego.

Spostrzegł go wreszcie. Jerzy stał smętnie z marynarką kolegi przewieszoną na lewicy i powiewającym kapeluszem w prawej ręce. Znużonymi oczami przyglądał mijające go okna wagonów.

Ujrzał go wreszcie eskortowanego przez konduktora.

— Ratuj mnie — wołał ze śmiechem Zygmunt — cerber chce mnie odstawić do szpitala warjatów, a ja ani rusz wytłumaczyć mu się nie mogę.

Musiał więc Jerzy wyjaśnić całą sprawę. Wytłumaczył kolegę jak tylko umiał. Załatwił wszystkie formalności i tak wreszcie zlikwidowano pierwsze wystąpienie trampa z konieczności.

— Bardzo to pięknie — perorował jeszcze na odchodnym konduktor — że się to wszystko tak łatwo wyjaśniło. Tylko na przyszłość — dodał nieufnie — opiekuj się pan lepiej swoim przyjacielem.

— Musimy tu zanocować — zaopiniował Jerzy, kiedy już zostali sami — pojedziemy dalej jutro rano.

— Dobrze — zgodził się Zygmunt — jestem zmęczony, możemy zostać. Ale, powiedzno mi — zagadnął nagle z ożywieniem — czy żona odprowadza cię na stację w Budapeszcie?

— Nie, skąd ci to do głowy przyszło?

— Widzisz, spotkałem tam na stacji kobietę podobną do niej, sądząc z twojego opowiadania. Ubrana była w czarny płaszcz i takiż kapelusz...

— Zauważyłem, owszem, była bardzo piękna. Znacznie ładniejsza od mojej żony, zresztą wyglądała raczej na turystkę, może jaka Włoszka.

— Napewno Polka!

— Skąd wiesz?

Zygmunt opowiedział mu swoją przygodę.

— Widzę, że zrobiła ta tobie wrażenie — Jerzy ziewnął. — Swoją drogą ciekawe, czy będzie w tej mieścinie można dostać przyzwoitą kolację? — zakończył.

W milczeniu skierowali się do hotelu.

— — — — —

Gdy w odrapanym pokoiku małomiasteczkowego zajazdu sen zamknął mu znużone obfitością wrażeń oczy, ujrzał Zygmunt Korski (tym razem napewno już po raz ostatni) piękną nieznaną, którą spotkał ubiegłego dnia w obcym mieście.

J. Mirski.

— — — — —

Z PRZYRODY i TECHNIKI

PARADOKSY TECHNIKI

W odległych epokach rozwoju ludzkiej historii, zwanych epokami kamiennymi, brązu lub żelaza, obok kamienia brązu i żelaza najważniejszym materiałem, z którego spryt naszych pradziadów kształtował najrozmaitsze przedmioty codziennego użytku było drzewo. Według legendy Prometeusz skradł ogień z Olimpu i od jego pochodni zapaliło się drzewo ludzkich ognisk, w świetle prometeuszowej pochodni zapaliły się pierwsze iskry ludzkiej kultury, która od wybrzeży Hellady promieniować miała na cały glob ziemski. Drzewo było, jest i przypuszczalnie zawsze będzie jednym z głównych materiałów, z których człowiek stwarza dzieła sztuki i techniki, mimo, że czasy nasze specjalnie protegują metal i wszelkie jego stopy.

Niedawno jeszcze okręty nasze, niby olbrzymie skorupy orzecha drewnianymi ścianami i belkami wytrzymywały znaczne i zmienne ciśnienie fal morskich, przyrządy budowane przez alchemików zwykle składały się z części drewnianych, a w miastach przeważały gmachy budowane z drzewa. Czasy te minęły. Dziś metalowe kolosy kołyszają się lekko na falach oceanu, metalowe szkielety maszyn poruszają się jak żywe kolosy pod olbrzymimi kopułami naszych fabryk, i w architekturze również drzewo zaczyna spełniać coraz to podrzędniejszą rolę.

W zamian zato jednak drzewo zdobyło sobie nowe pola zastosowań. Na podkłady pod szyny kolejowe, na słupy telegraficzne i niezliczone przedmioty użytku domowego używamy drzewo nie dające się w wielu wypadkach zastąpić przez swych metalowych konkurentów.

Nic więc dziwnego, że technika współczesna zajmuje się poważnie kwestją polepszenia jakości drzewa. Drzewo wilgotne dla celów technicznych oczywiście się nie nadaje, pierwszą więc troską techniki jest sztuczne wysuszenie drzewa w suchym powietrzu. Drzewo jest poza tym stale zagrożone atakiem rozmaitych zwierzęcych wrogów, zwłaszcza owadów, a w bezpośrednim zetknięciu z wodą niszczy je zgnilizna, doszczętniej, aniżeli rdza niszczy materiały metalowe. Drzewo bywa więc impregno-

wane specjalnymi chemikaljami, które sprawiają, że bardziej staje się odporne przeciwko wpływom zewnętrznym.

Ostatnio technika preparowania drzewa osiągnęła niebywałe wprost wyniki, stworzyła drzewo-metal. Drzewo zostaje według specjalnej metody dr. Schmidta z Düsseldorfu nasycone ołowiem, cyną, lub rozmaitymi stopami, przyczem zachowuje swoją swoistą strukturę organiczną. Zależnie od stopnia metalizacji nowy materiał posiada własności metalu, względnie drzewa, a równocześnie nabywa pewne, nowe cechy, specjalnie korzystne przy jego zastosowaniach technicznych. Metal nasyca komórki i zapełnia całe rusztowanie włókien drzewa, przyczem, w razie potrzeby, można zaprzestać na metalizacji li tylko zewnętrznej warstwy drzewa.

Drzewo zmetalizowane staje się bardzo wytrzymałe na ciśnienie, jest bardzo twarde, przyczem jego stopień twardości może nawet przewyższać twardość odpowiedniego metalu. Poza tym drzewo takie traci niemal całkowicie niekorzystną własność nasiąkania wodą i przechowane nawet kilka miesięcy pod wodą bardzo nieznacznie zmienia swoją objętość i wagę. Również cenna jest dla techniki okoliczność trudnego zapalania się drzewa metalizowanego. Mimo tych cech upodabniających, drzewo w ten sposób spreparowane do metalu, nowy materiał techniczny daje się heblować, piłować i sklejać zupełnie tak samo, jak zwykłe drzewo. Dla prądu elektrycznego drzewo metaliczne jest dobrym przewodnikiem, jeśli prąd galwaniczny przepływa wzdłuż jego włókien, w kierunku zaś poprzecznym działa jako izolator. Wszystkie te wyjątkowe cechy zdają się przemawiać za tem, iż nowy paradoks techniczny drzewo-metal spełni ważne zadania w służbie ludzkości.

Istnieją jednak we współczesnej technice inne jeszcze paradoksy. Szkło dające się piłować i giąć powstało w chemicznej garkuchni dwóch angielskich uczonych z Liverpool, prof. F. C. Baly'ego i jego syna Edwarda Baly'ego. Szkło „plass” przepuszcza promienie ultrafioletowe, od grywające tak ważną rolę zdrowotną, nie jest palne, ani łamliwe, a mimo

to jest tak samo przezroczyste jak szkło zwykłe. Wynalazek uczonych chemików może więc wywołać prawdziwy przewrót w architekturze, w której nowy rodzaj szkła umożliwi budowanie domów szklanych, których wnętrza będzie z wszechstron dostępne życiodajnym promieniom słońca.

Do rzędu paradoksów technicznych można wreszcie zaliczyć płyty gramofonowe przezroczyste i niełamliwe. Od czasu kiedy gramofon zdobył sobie świat i potokiem melodii zalewa nawet najsłabszą izbę robotnika, łamliwość płyt gramofonowych jest zawsze największą troską właścicieli „domowych orkiestr”. Nieostrożny chwyt, nagły wstrząs, lub niefortunne oparcie się łokciem o stos płyt dźwiękowych mógł zniszczyć doszczętnie arję z Lohengrina, lub wzruszające tango z Morskiego Oka. Nowe płyty gramofonowe są giętkie i niezmiernie lekkie, gdyż dopiero siedem ich równoważy średniej wielkości płytę starej daty.

Technika współczesna coraz częściej dąży do stworzenia takich właśnie „niedorzeczności”. Pojęcie domu zawsze kojarzy się z pojęciem „nieruchomości”, w stosunkach prawnych często, a może nawet zawsze,

pisze się miast „dom” — „nieruchomość”. Będą więc mieli prawnicy nie łatwy do zgryzienia orzech, gdy wypadnie im zabrać głos w sprawie fruujących domów Fullera. Ruchome te nieruchomości bowiem będzie można, uciepione do gondoli sterowca, przenosić z miejsca na miejsce drogą najprostszą — powietrzną.

Oczywiście we wszystkich tych wypadkach „paradoks” jest tylko pozorny. Od prawieków przyzwyczailiśmy się do tego, że pewnym przedmiotom, czy też materiałom należy przypisywać pewne własności. Technik współczesny udowadnia nam codziennie, że panujące na Ziemi stosunki dają się korygować, poprawiać, że można im narzucać naszą wolę i oto — człowiek, zwierzę lądowe unosi się jak orzeł w przestworzach, słyszy i widzi muzykę i zdarzenia, które odbywają się na drugiej półkuli naszego globu, do rzetelnej pracy zaprzął kulawego boga wulkanów Hefajsta, grzeje się w promieniach elektrycznych Słońca, a armatami swych lunet wydziera niebu ostatnie tajemnice stawania się i zaniku gwiazdnych światów.

Dr. Feliks Burdecki.

KRONIKA POLITYCZNA

LONDYŃSKA KONFERENCJA MORSKA.

Dążność państw do łagodzenia i unikania zatargów przy pomocy pośrednictwa lub rozjemstwa — do unikania wojny, zaznaczyła się już przed wielką wojną. W 1899 r. zwołana była pierwsza konferencja pokojowa w Hadze; poraz drugi zebrali się, również w Hadze, przedstawiciele 44 państw całego świata, uchwalając odpowiednie konwencje i rezolucje i ustanawiając dla rozstrzygania sporów międzypaństwowych stały trybunał rozjemczy w Hadze. A jednak w 7 lat później rozpoczęła się, jak wiemy, wojna światowa, trwająca przeszło 3 lata. Po wojnie nie zaniechano dążeń do rozstrzygania sporów przy pomocy porozumień, zjazdów, układów, konferencji, ustanowiono Ligę Narodów, jako organizację stałą, mającą również zadania pokojowe.

Ostatnio odbywa się konferencja morska w Londynie. Na konferencji zebrali się przedstawiciele tylko 5 państw: Anglii, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Francji i Włoch, a porozumienie miało dotyczyć ograniczenia zbrojeń morskich tych państw. Po trzechmiesięcznych obradach i posiedzeniach podpisano 22 kwietnia odpowiedni układ, który jednak w całości obowiązuje tylko 3 państwa: Anglię, Stany Zjednoczone i Japonię — bowiem Włochy i Francja na wszystkie propozycje ograniczenia zbrojeń morskich nie chciały się zgodzić.

Podpisanie odbyło się bardzo uroczyście w Londynie, a przewodniczył na tem posiedzeniu prezes ministrów państwa angielskiego, Mac Donald, który otwierając posiedzenie, zaznaczył, że uczyniono krok naprzód w stosunku do podobnych konferencji, odbytych w Waszyngtonie i Genewie, że okazuje się zbrojeń można uniknąć na drodze porozumień. Następnie przemawiał delegat Ameryki, Stimson, podkreślając wartość uchwał dla stabilizacji stosunków na Dalekim Wschodzie. Trzeci mówca, francuski minister spraw zagranicznych, świetny polityk, uczestnik wielu zjazdów międzynarodowych, Briand, stwierdził, że „wyścig zbrojeń jest zatrzymany...”.

Pierwszy podpisał pakt Stimson i inni delegaci amerykańscy, następnie przedstawiciele innych państw w porządku alfabetycznym. Mac Donald podpisał układ złotem piórem, ofiarowanem mu przez Brianda. Delegatów otaczało z górą 100 dziennikarzy.

Tekst układu londyńskiego składa się ze wstępu i z 5-ciu części, zawierających 26 artykułów. We wstępie jest mowa o przedmiocie układu, oraz wymienione są państwa, biorące w nim udział.

Pakt ogranicza dla Anglii, Stanów i Japonii budowę pancerników, krążowników, torpedowców i łodzi podwodnych, ustanawiając ogólny stosunek tonażu tych jednostek bojowych dla trzech państw; przyczem ogólny tonaż Anglii ma być równy tonażowi Ameryki, a japoński ma stosunek około 85% amerykańskiego. Układ zawiera porozumienie, na mocy którego łodzie podwodne mają się stosować do przepisów prawa międzynarodowego w odniesieniu do bezpieczeństwa pasażerów i załogi statków handlowych.

Umowa wchodzi w życie po ratyfikacji jej przez Anglię, Japonię i Amerykę, a w części pierwszej, czwartej i piątej w stosunku do Francji i Włoch po ratyfikacji przez te 2 państwa.

Umowa ma trwać do 31 grudnia 1936 r.; w 1935 r. ma się odbyć znów konferencja celem opracowania nowego traktatu.

Ciekawą jest rzeczą, że jak doniosły ostatnie depeche, prezydent Ameryki, Hoover, przesyłając senatowi tekst londyńskiego układu morskiego, wstrzymał się od wypowiedzenia swego zdania i od wyrażenia nacisku na senat celem ratyfikacji traktatu.

ZE STOSUNKÓW POLSKO—NIEMIECKICH.

Niemcy odnoszą się niechętnie, a niejednokrotnie wrogo do naszego państwa. Nie mogą się pogodzić z istnieniem silnego państwa polskiego, które tamuje ich zapędy germanizacyjne na wschodzie; nie mogą przeboleć straty na rzecz Polski ziem polskich, które w czasie rozbioru dostały się Prusom, były ich terenem germanizacyjnym, a jednocześnie spichlerzem Niemiec. Utrudniają też Niemcy sytuację Polski, zarówno na terenie międzynarodowym, politycznym jak i gospodarczym.



Patrz „Konkurs Domyślności” na str. 16-tej.

Od 1925 r. prowadziły z Polską wojnę celną, a gdy nareszcie po długich rokowaniach i przerwach doszło do układu handlowego polsko-niemieckiego, mającego regulować stosunki handlowe między obu państwami i polepszyć sytuację gospodarczą, ciężką zresztą dla obu również państw, Niemcy, choć umowa handlowa polsko-niemiecka nie została jeszcze ratyfikowana ani przez Sejm polski ani przez Reichstag, a więc formalnie jeszcze nie weszła w życie, nie czekając nawet na wejście jej w życie, wprowadzili nowe taryfy celne na artykuły rolne, przez co całą umowę postawili pod znakiem zapytania.

To też rząd polski złożył przez swych przedstawicieli protestacyjne noty w Berlinie i Genewie, gdzie Niemcy podpisali również ogólne przepisy, dotyczące zakazu importu i eksportu. Tak zwane cła Schielego (Schiele minister niemiecki, projektodawca owych cel) wywołały również protest w Berlinie Danji i Holandji, a także obszerną polemikę w prasie przedewszystkiem polskiej i niemieckiej, a także i europejskiej.

O wrogim stosunku Niemiec do Polski świadczy projekt nowego pancernika niemieckiego „B”, pancernik ma służyć, rzekomo, dla obrony Prus Wschodnich od inwazji polskiej, choć o tej inwazji Polska wcale nie myśli, a jest w rzeczywistości zamaskowanym zbrojeniem Niemiec. (Ostatnie depeche przyniosły wiadomość o projekcie wielkich zbrojeń morskich Włoch).

RUCH WOLNOŚCIOWY W INDJACH.

Indje, jedna z najważniejszych kolonij angielskich, od miesiąca znajduje się w stanie wielkiego podniecenia. Zapoczątkowany przez Gandhiego, filozofa i wielkiego działacza hinduskiego, pochód ku wybrzeżom morskim, gdzie miał się dokonać akt wydobywania soli z morskiej wody, dał początek symbolicznej akcji „biernego oporu” przeciwko Anglikom. Wydobywanie soli godzi w monopol solny angielski i wywołuje represje Anglików. Łącznie z bojkotem soli angielskiej idzie bojkot alkoholu, a także wyrobów włókienniczych angielskich. 300 milionów hindusów, odziewa się w materiały, wyrabiane w Manchester i Langchire w Anglii. Gandhi postanowił, że wyrobów tych nie wolno używać hindusom, którzy powinni sami zająć się tkactwem na prostych kołowrotkach. Ostatnio Anglicy aresztowali Gandhiego, jak uczynili to już w wielu wybitnymi działaczami hinduskiemi.

„Bierny opór” nie wszędzie jest istotnie bierny. W Kalkucie, Bombay, w Madanie, w Peshawer doszło już do groźnych starć tłumów hinduskich z policją, a nawet wojskiem angielskim. Nowe transporty wojsk angielskich wyruszyły do Indji, gdzie mogą się rozegrać ważne nie tylko dla Anglii, ale i dla całego świata wydarzenia. Nie jest wykluczone, że w ruchu indyjskim bierze udział, już od połowy wieku rywalizująca z Anglią na terenie Azji, Rosja.

PROJEKT BRIANDA.

Na najbliższym zebraniu Ligi Narodów, francuski minister spraw zagranicznych, Briand, ma wystąpić z bliżej nieznanym projektem organizacji, któraby obejmowała wszystkie państwa europejskie.

jb.

STRASZLIWA WYMOWA CYFR

Czasopisma i miesięczniki niemieckie o charakterze etycznym i o rodzinnym biją coraz to częściej na trwogę. Przedmiotem ich rozważań bywa niejednokrotnie alkoholizm i nędza mieszkaniowa.

Niema w tem nic dziwnego. Wzrastający wciąż w Niemczech upadek rodziny oraz niebawale wprost, nawet dla środkowej Europy, zmniejszanie się przyrostu ludności jest w znacznej mierze spowodowane temi dwiema klęskami.

Statystyka urzędowa z 1927/28 r. wykazuje, że naród niemiecki wydał w tym czasie na wino, piwo i wódkę 4.695.045.000 marek (9.390.090.000 zł.). Najwięcej oczywiście na piwo, gdyż 3.345.514.670 marek. Na tej truciznie państwo zarobiło w formie podatku 637.834.112 marek. Przeciętny Niemiec wydaje więc rocznie na alkohol 74,52 (155,04 zł.). Jesliby te pieniądze zużytkowano na budowę mieszkań, to możnaby niemi uszczęśliwić, licząc przeciętnie po 15.000 mk. za mieszkanie, 289.145 niezamożnych rodzin, czyli że co godzina budowałoby się 35 i $\frac{3}{4}$ mieszkań. To samo, choć w nieco mniejszej mierze odnosi się i do nikotyny. Te potworne cyfry są według pism niemieckich dowodem, że dzieje się coś gorszego od epidemii, że jakiś ohydny rak toczy nieustannie organizm ludności Rzeszy, że państwo niema się czego cieszyć ze swoich dochodów mo-

nopolowych, gdy napełnia kasę kosztem nieszczęścia rodzin swych obywateli.

U nas tak źle jeszcze nie jest i tak wysokimi cyframi, jak Niemcy poszczycić się nie możemy. Wymowa jednak statystyki naszego zachodniego sąsiada jest tak przerażająca, że i my musimy się nad nią zastanowić. Szczególnie w czasach obecnej nędzy mieszkaniowej. Zużywanie nadmiernych ilości alkoholu i nikotyny jest marnotrawstwem, gdyż niszczy instytucję rodziny, na której, jak na trwałych fundamentach, pragnie się opierać dzisiejsze państwo.

Dr. E. S.

Czy klimat nasz ulega zmianie?

Czy klimat nasz ulega zmianie? Starzy ludzie odpowiadają z reguły twierdząc na to pytanie. Zazwyczaj nie pamiętają oni tak chłodnego lata i tak ciepłej zimy, jak ostatnie i ostatnia. I wogóle, starzy ludzie nie zbyt wiele pamiętają. Ciekawą przeto będzie rzeczą, dowiedzieć się, jak na to pytanie odpowiada nauka, która, w przeciwieństwie do starych ludzi „wszystko pamięta”.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż planeta nasza, w ciągu swego istnienia przeżywała najrozmaitsze zmiany klimatu, o czym najdobitniej świadczą „pamiętki geologiczne”. I tak złoża soli wskazują na miejsca byłych mórz, węgiel kamienny mówi o tropikalno-wilgotnym klimacie i t. p. Ongiś Szpicberg był pokryty nieprzebytymi bagnami, a w zamierzchłej epoce permskiej na miejscu dzisiejszych znojących pustyń południowej Afryki rozpościerały się olbrzymie, podobne do grenlandzkich, lodowce. Jeszcze zupełnie „niedawno”, bo zaledwie 150.000 lat temu, cała Europa wschodnia pokryta była lodem. Lód pokrywał również przestrzeń dzisiejszej centralnej Europy, Kanady i Północnej Ameryki. Po cofnięciu się lodowców zjawiała się tundra, step i las, wraz ze słoniami, nosorożcami i bawołami, które zamieszkiwały te same miejsca, na których dziś spacerują mieszkańcy Londynu, Paryża i Berlina. Kroniki historyczne notują również niejednokrotnie zmianę klimatu. I tak na przykład w wieku 15-ym, zdarzały się zimy tak chłodne, iż morze Bałtyckie niejednokrotnie zamarało. Jak więc z tego widać klimat naszej planety zmienia się w skali dość szerokiej. Jakże są jednak przyczyny, które wywołują te zmiany? Na to pytanie odpowiadają różnie. Być może, iż przyczyną, powodującą zmianę klimatu, jest zmiana kąta nachylenia osi ziemskiej do płaszczyzny ekliptyki, t. j. płaszczyzny, w której ziemia obraca się dookoła słońca. Od tego nachylenia zależy zmiana pór roku, na różne bowiem pasy globu ziemskiego przy obrocie dookoła słońca pada mniej lub większa ilość promieni słonecznych i w zależności od tego następuje lato lub zima. Wszelka więc zmiana nachylenia osi ziemskiej do płaszczyzny ekliptyki powoduje zmianę pasów klimatycznych ziemi. Co się zaś tyczy przyczyny samej zmiany pochylenia osi ziemskiej, to ta kwestja jest teraz gorąco dyskutowana. Znany uczony szwedzki Swante Arrhenius innemi zjawiskami tłumaczy zmianę klimatu. Według niego klimat zależy od ilości gazu węglowego w atmosferze. Gaz węglowy ma tę właściwość, iż przepuszcza bez pochłaniania promienie słoneczne w kierunku naszego globu, a zatrzymuje promienie ciepłe, wysyłane przez ziemię. Tę samą zresztą własność przepuszczania promieni świetlnych i zatrzymywania ciepłych posiada i szkło. Jeżeli np. skrzynkę okryjemy watą ze wszystkich stron, z wyjątkiem jednej, opatrzonej potrójną szklaną ścianką, to powietrze zawarte wewnątrz skrzynki można nagrzać nawet do temperatury 120°, podczas gdy zewnętrzna temperatura może nie przekraczać 10°. Istniejący w atmosferze gaz węglowy i para wodna powoduje ten sam „ciepły” rezultat dla powierzchni ziemi. Gdyby nagle znikł z atmosfery gaz węglowy to średnia temperatura roczna ziemi zmniejszyłaby się o 9 stopni. Wraz ze zniknięciem gazu węglowego automatycznie zmniejszył się ilość pary wodnej, co spowoduje nową niższą temperaturę, prawdopodobnie o tę samą ilość stopni. Rezultatem tego zjawiska będzie zlodowacenie całego globu ziemskiego i śmierć świata organicznego. Gdyby zaś zawartość kwasu węglowego zmniejszyła się do połowy, to średnia temperatura spadłaby o 4 stopnie, i w Europie i w Ameryce znów zapanowałby okres lodowcowy. Natomiast, wzrost ilości gazu węglowego o 50% spowoduje ocieplenie o 4 stopnie, co przyczyni się do nastania klimatu tropikalnego na całej ziemi. Gęste obłoki, nieprzepuszczające promieni słonecznych, skryją ziemię, i na przestrzeni od bieguna do równika zapanuje wilgotny i ciepły klimat z niezmienną temperaturą. Przyczyną wywołującą zmiany ilości gazu węglowego w atmosferze jest według Swante Arrheniusa, działalność wulkanów. Podczas intensywnej działalności wulkany wprowadzają do atmosfery ogromne ilości pary wodnej i gazu węglowego, i w epokach szczególnie silnej działalności wulkanicznej — np. w okresie

węglowym — na ziemi panował klimat ciepły i wilgotny, co wskazuje na powiększenie zawartości gazu węglowego. I oto ostatnie nasze dziesięciolecie upłynęło pod znakiem intensywnej działalności wulkanicznej. W tym samym kierunku idą również wysiłki człowieka, spalającego rocznie 1,3 miljarda tonn węgla, co znacznie powiększa ilość gazu węglowego w atmosferze. Zwiększenie się ilości gazu węglowego w powietrzu, pociągnie za sobą z konieczności nastanie bardziej równego, tak zwanego morskiego klimatu, w którym temperatury różnych pór roku dążą do wyrównania, t. j., gdy lato staje się bardziej chłodnym, a zima cieplejszą. Tego rodzaju zjawisko obserwujemy właśnie obecnie. Meteorologiczne badania, przeprowadzone w obszarach arktycznych, skonstatowały, począwszy od roku 1918, podwyższenie temperatury. Temperatura panująca dzisiaj na obszarach arktycznych jest znacznie wyższą od tych, jakie zanotował Nansen w końcu ubiegłego wieku. Tak więc zima staje się coraz mniej surową nie tylko w Europie Zachodniej, lecz i pod innymi stopniami szerokości geograficznej. Co się zaś tyczy pogód letnich, to nie trzeba być meteorologiem, by stwierdzić, iż stają się one coraz bardziej chłodne.

Jak więc widzimy szansę teorii Swante Arrheniusa zyskują coraz bardziej na prawdopodobieństwie. 1 r.



Ze świata książek

Zofja Nałkowska i Marja Jehanne Wielopolska: Księga o przyjaciółach.

Księga o przyjaciółach składa się z dwóch części, z których każda pisana jest przez inną autorkę, są to więc jakby dwie różne książki, dwa cykle łączące się ze sobą jedynie wspólnością tematu — osobami, powiem naśladując autorki „przyjaciół”.

Tak jednak bardzo różnią się od siebie te dwie części omawianej książki, że zmuszony jestem zająć się kolejno każdym z osobna cyklem tych przedziwnie subtelnych opowiadań o życiu zwierząt.

Część pierwsza napisana jest przez Zofję Nałkowską. Trzeba przyznać, że w obfitej dosyć literaturze o zwierzętach nie spotykamy nic podobnego do tych szkiców naszej znanej powieściopisarki. Zawsze tak skłonna do analizowania psychiki kobiecej autorka „Księcia” i „Małżeństwa” zastosowała swą zwykłą technikę pisarską i do omawianych obrazków zwierzęcych.

Początkowo robi to na czytelniku bardzo dziwne wrażenie. Przyzwyczailiśmy się do ujmowania tematu w ten sposób, w jaki ujmowali go mistrzowie w tej dziedzinie: Dygasiński, Kipling, Zaborowski... aż tu tymczasem, wręcz przeciwnego, zdrobnienia subtelności, atmosfera po prostu salonowa.

Trzeba doprawdy dużego talentu i skrzętej drobiazgowości spostrzeżeń, aby w ten sposób potraktowane indywidualności zwierzęce nie zatraciły swej właściwej psychologii i zachowały swe odrębne życie.

Potrafiła jednak dokonać tego autorka. Pokazała nam w swych opowiadaniach nazbyt może delikatne, pastelowe barwy odmalowane, ale prawdziwe zwierzęta. Jedno tylko zastrzeżenie są to zwierzęta nawszkroś domowe, naprawdę jest to księga o przyjaciółach, bo tylko takie zadomowione, ucywilizowane zwierzęta mogą być w ten sposób traktowane. Taka może być charcica Djana, ale nie mogłaby w żadnym razie taka być Czarna Pantera, przedstawicielka wolnego ludu dżungli.

Bardzo również na szkodę opisywanym zwierzętom wyszedł zbyt ni subiektywizm autorki. Zastania on chwilami tak dokładnie oczom czytelnika postaci opisywanych zwierząt, że odnosi się wrażenie, jakby opowiadania Zofji Nałkowskiej były jedynie wspomnieniami jej osobistych wrażeń, których doznała obcując ze swymi czworonożnymi „przyjaciółmi”, a nie opowiadaniem o zwierzętach.

Takiż sam prawie subiektywizm cechuje i drugą część „Księgi o przyjaciółach” napisaną przez Marję Jehanne Wielopolską. Stara się wprowadzić autorka podsunąć swoje myśli bohaterom opowiadań i wyrazić je w ten sposób, abyśmy mogli odnieść wrażenie, że tak właśnie myślała i tak wyrażać się powinny opisywane pieski, kotki i tym podobne stworzenia, lecz niestety niezupełnie ulegamy tej sugestii.

I tu zbyt silna indywidualność pisarska autorki „Kryjaków” przyćmiewa nam obraz bohaterów.

Możnaby wprawdzie twierdzić, że żywioł refleksyjno-osobisty bynajmniej nie zmniejsza wartości omawianej książki — ależ tak, natu-

ralnie, tylko, jaka szkoda, że tracimy w ten sposób tak pięknie zapowiadające się opowieści z życia zwierząt.

Książka ta, jak zresztą wogóle utwory obu omawianych autorek, posiada dużą wartość artystyczną i wiele cennych spostrzeżeń i refleksyj, tylko, jaka szkoda, powtarzam jeszcze raz, że zatraciły się w niej postaci tak często zapominanych naszych leśnych i domowych „przyjaciół”.

Mało się dziś pisze o zwierzętach, Dygasiński legł już w zapomnieniu (jakże niesłusznie!), Zaborowskiego i Ejsmonda czytają prawie sami tylko myśliwi. Nic więc dziwnego, że miła i ładna „Księga o przyjaciółach” budzi te właśnie smutne refleksje: dlaczego tak mało jest w niej o samych zwierzętach, kiedy tyle miejsca zajmują uczucia i myśli autorek.

Mik.



o wszystkim potrosze

KTO ODKRYŁ LECZNICZE WŁASNOŚCI RADU?

Ludność czeskich okręgów górniczych, w szczególności znajdujących się w okolicach Joachimowa jest bardzo skłonna do zapadania na podagrę i reumatyzm. W wypadku zapadania na jedną z tych chorób — od dawna już ludność miejscowa korzystała z wypróbowanego domowego lekarstwa — z ziemi, wydobytej z kopalni, i z resztek przetopionej rudy. Górnicy, wypróbowawszy na sobie lecznicze własności rudy, opowiedzieli o tem okolicznej ludności, która, korzystając z rad, przykładała podczas choroby woreczki z ziemią do chorych stawów. Po pewnym czasie ból rzeczywiście zniknął, opowiadania o cudownym działaniu ziemi z Joachimowa zataczały coraz szersze kręgi. Zapotrzebowanie na leczniczą ziemię wzrastało i górnicy rozpoczęli handel. Gdy zarząd górniczy zauważył, iż handel ten daje robotnikom wielkie dochody — przejął go w swoje ręce. Lecz nikomu w tym czasie nie przyszło do głowy, by zbadać, na czym polega lecznicze działanie woreczków z ziemią, a koła inteligencji z Joachimowa ironizowały na temat „przesądów” ciemnych mas. I dopiero od chwili gdy Curie-Skłodowska odkryła rad w smolnej rudzie joachimowskiej lekarz miejscowy zwrócił uwagę na „legendy” o cudownych własnościach rudy i przystąpił do jej naukowego zbadania. Dziś szyby kopalni są czujnie strzeżone. Nikt nie ma prawa zabierać resztek z przerobionej rudy smolnej, które całkowicie przechodzą na własność skarbu państwa.

UŻYWANIE TRUMNY.

Największą ambicją niektórych sklepów uniwersalnych, w Stanach Zjednoczonych jest możność dostarczenia klientowi wszystkiego, czego ten zażąda, jeśli nie natychmiast, to przynajmniej w terminie 24 godzin. I w Europie znajdują się uniwersalne magazyny, do których można przyjść „chłodno, głodno i nago”, a z których wyjeżdża się na nowiutkim Rolls-Roys, doskonale najadłszy się, w ubraniu z pod igielki, i z kontraktem na natychmiastowe dostarczenie urządzenia do 5-ciu pokoi (płatnych ratami). Wszyscy znają paryski Louvre i berlińskiego Wertheima.

Jednakże domy towarowe w Europie nie obstają przy tem, iż mogą dostarczyć **absolutnie wszystko**. Tymczasem firma „Seales Rebeck” w New Yorku sprzedaje wszystko według katalogu. W milionach egzemplarzy rozchodzą się po Stanach Zjednoczonych jej katalogi ilustrowane z dokładnym opisem towaru. Faktem jest, iż „Seales Rebeck” kładzie wielki nacisk na to, że można u niej kupić i dostać wszystko od żywej zebry i torpedowca począwszy, aż do bogatej narzeczonej i wskazówek od zegarka. Jest to zaznaczone wielkimi literami na pierwszych stronicach katalogu.

Przed kilku miesiącami firma ogłosiła oryginalny konkurs... Zobowiązała się mianowicie zapłacić 1000 dolarów każdemu, kto zażąda przedmiotu, którego u niej nie można było znaleźć. Nadesłano setki tysięcy listów, wszystko jednak było na składzie. Żądano soli ciechocińskiej i płyt gramofonowych z przemówieniami tego pana ze Lwowa, który wygrał u Georg’a dolarówkę, prawdziwego Rafaela i fałszowanej zupy rakowej — wszystko było, lub mogło być dostarczone na drugi dzień. A jednak... musiano zapłacić 1000 dolarów panu Josuah Washington Brown z Oklahama, który napisał: „Proszę donieść mi odwrotną pocztą, czy firma posiada na składzie używane trumny”.

W głównem zaś oknie wystawowem firmy „Seales Reback” stały w przeciągu jednego tygodnia dwie używane trumny, które musiano zakupić w celu skompletowania słynnego katalogu.

PRZEŚWIETLANIE DRZEWA PROMIENIAMI ROENTGENA.

Podczas piłowania cennych gatunków drzewa na deski, natrafia się nieraz na puste miejsca lub inne wady w układzie włókien drzewnych, choć zewnętrznie pień nie zdradza żadnych wad; cała robota idzie przeto nieraz na marne. Aby uniknąć marnowania czasu i pieniędzy, przedewszystkiem zaś nie kupować sztuk z brakami, prześwietla się pnie zapomocą promieni Roentgena i otrzymuje w ten sposób dokładny obraz wnętrza drzewa.



Z OSTATNICH WYDARZEŃ SPORTOWYCH

3:2 zamiast 5:0.

Przeczytawszy ten zagadkowy dla laików tytuł, każdy sportowiec domyśli się, że mowa o naszym tegorocznym zwycięstwie nad Rumunją w rozgrywkach tenisowych o puchar Davisa. Po raz pierwszy w tym roku nie przegraliśmy, jak zwykle wszystkich punktów, a odnieśliśmy zwycięstwo. Szczęśliwym trafem wylosowaliśmy na przeciwnika Rumunję. Rozgrzywka wykazała jak wielkie znaczenie na korcie tenisowym mają nerwy i zawziętość, chęć wygrania. Wygraliśmy trzy punkty — single Tłoczyński—Poulieff, single Tłoczyński—Mishu oraz single Maks Stolarow—Poulieff. Przegraliśmy single Mishu—Maks Stolarow i double M. i J. Stolarowowie—Mishu, Poulieff.

Odniesione zwycięstwo pozwoli nam po raz pierwszy wziąć udział w drugiej rundzie rozgrywek. 15—17 maja nasza reprezentacja rozegra mecz z Anglią w mieście Torquay na południowym wybrzeżu Devonshire. Oczywiście tam już na zwycięstwo liczyć nie możemy.

Młody tenisista Tłoczyński, który nie ma jeszcze żadnej rutyny, który wiele jeszcze musi popracować nad techniką rozgrywek, wykazał właśnie tę wielką zawziętość w chęci zwyciężenia, a jednocześnie wielkie opanowanie, czem górował nad przeciwnikiem. Zwłaszcza w drugim dniu, w czasie gry z zawodnikiem rumuńskim Mishu, który zupełnie nie panował nad nerwami, spokój Tłoczyńskiego ujawnił się w całej pełni. Zachowanie się Rumuna było najlepszym dowodem, że technika ruchów nie czyni jeszcze sportowca. Człowiek, który nie umie zapanować nad swoim gniewem, obrażony na publiczność ciągle schodzi z boiska, a wreszcie rzuca piłką w publiczność — taki człowiek może być dobrym graczem w tenisa, ale nie będzie sportowcem.

Dwaj pozostali zawodnicy: Polak—Stolarow M. i Rumun—Poulieff grali dosyć podobnie do siebie. Pomimo swej dużej szybkości Rumun uległ przewadze Stolarowa, tak, jak poprzednio uległ Tłoczyńskiemu. W grze podwójnej zwyciężyli Rumuni braci Stolarowych, których nerwy lub może siły fizyczne nie wytrzymały tak długiej gry.

BOKS.

Bokserzy łódzcy odnieśli w Budapeszcie zwycięstwo nad Bawarją w stosunku 9:7 i uzyskali z drużyną węgierską wynik remisowy 8:8.

HIPPIKA.

Na tegorocznych konkursach nicejskich jędcy nasi nie uzyskali wprawdzie tak zaszczytnych miejsc jak zwykle, ale pomimo to zdobyli ogółem 30 nagród.

LEKKA ATLETYKA.

Dnia 4 maja odbył się w Warszawie piąty narodowy bieg na przełaj na dystansie około 8 km. Startowało 235 zawodników z całej Polski. Odrazu po starcie prowadzenie biegu objął Kusociński (Warszawianka) i nie dał się zwyciężyć nawet Petkiewiczowi, przybył pierwszy do mety w czasie 24 min. 26 sek. Petkiewicz przybył drugi, o 100 metrów wtyle, zastawiając za sobą resztę zawodników prawie o kilometr. Dystans ten nie należy do specjalności Petkiewicza, który najlepsze wyniki osiąga na dystansach 1.000—3.000 metrów. Puchar dla drużyny, która wystawiła najwięcej zawodników zdobył Związek Strzelecki.

Pisma nadesłane

„CZUWAJ”, mies. młodzieży harc. ziemi łomż. (Nr. 4 R. XV, kwiecień 1930 r.).

Pismo to, miłe i dobrze redagowane, mogłoby stać się wzorem dla stołecznych pism młodzieży, stojących często na dużo niższym poziomie. Nie zapominajmy jednak, że „Czuwaj” wychodzi już blisko piętnaście lat — doświadczenie niebylejakie.

W numerze kwietniowym na wyróżnienie zasługują: wiersz „Wiosna” (banalny, ale z dużą napisaną kulturą), feljeton „Cośnecoś o Świętach Wielkiejnocy” i żywo prowadzone kroniki.

Życzymy pismu „Czuwaj”, conajmniej piętnastu dalszych lat równie owocnej pracy.

Z POD CZAPKI UCZNIOWSKIEJ, mies. młodz. szkół śr., Poznań, (Nr. 7, R. III, marzec 1930 r.).

Pismo to (o którego niezręcznym tytule mieliśmy już sposobność pisać), stale podnosi swój poziom. W porównaniu z rokiem zeszłym znać wielki postęp. Zbyt dużo jeszcze miejsca poświęcono „wspomnieniom”, „wrażeniom” i t. p., nazbyt osobistym elukubracjom. Nie odbija się na piśmie gromadzkie życie szkoły. Nie brak zresztą i poważnych artykułów (Np. „Dwie Siły”).

Dobre są „Wycinanki z życia szkolnego”.

NASZE ŻYCIE, mies. semin. żeńsk. w Złoczowie (Nr. 7, R. II, kwiecień, 1930 r.).

I tutaj postęp jest duży. Wprawdzie wiersze nadal pozostawiają wiele do życzenia („Pod tchnieniem wiosny”, „Razem”), ale poziom ogólny się podniósł.

Niewiadomo dlaczego dwie rozprawki literackie umieszczone w Nr. 4 kwietniowym („O wpływach i zależnościach literackich” oraz „Powieści ludowe Kraszewskiego”) — są tak mało samodzielne. Czyż konieczne trzeba streszczać dzieła profesorów i to do użytku pisma szkolnego?

Z dużym sentymentem napisany jest szkic historyczny o Józefie Piłsudskim, zakończony niewiadomo dlaczego pocziwem, ale niezręcznym czterowierszem.

PRZYSZŁOŚĆ, ilustr. mies. szkół śr. w Ropczycach (R. II Nr. 7—8, kwiecień 1930 r.).

Bardzo nierówno prowadzone pismo. Obok zupełnie niezłych wierszy („Święty Izidor rolnik”, „Wieczór wiosenny”), znajdujemy wiersz zupełnie zły („Alleluja”); obok żywo redagowanej kroniki — nudny i niemądry artykuł o zwyczajach towarzyskich.

Na wyróżnienie zasługuje serdecznie napisane powinszowanie: „Marszałkowi J. Piłsudskiemu w dniu Imienin”.

Natomiast co w tem piśmie robi „Kącik muzyczny”, a zwłaszcza wykład o grze na gitarze — nie umielibyśmy odpowiedzieć. Chyba, że w Ropczycach mieszkają sami melomani...

ŚWIT, pismo młodzieży szkolnej w Kaliszu (R. VI, Nr. 6—7, Marzec—Kwiecień 1930 r.).

Kalisz może być dumny z tego pisma. Poważne, starannie redagowane, pełne treści.

Numer marcowy otwiera pięknej wstęp poświęcony uroczystości Imienin Marsz. Piłsudskiego. Następnie cały szereg artykułów, poważnych feljetonów, szkiców, wierszy — wreszcie kronika szkolna.

Niektóre utwory znamy z „Odpowiedzi Działu Literackiego „Sternika”. Co do wierszy p. Woldena nie zmieniliśmy zdania. Nie nadają się one do „Świtu”, obniżają jego poziom — przynajmniej w tej postaci, w jakiej są obecnie. Panu Pietrzakowi radzimy porzucić starosłowiańską mianierę. To grozi zupełnym wyjałowieniem.

Redakcji „Świtu” możemy pogratulować prawdziwie pięknej okładki i bardzo ładnych winietek w tekście.

K O L U M N A M Ł O D Y C H P I Ó R

ŚMIERĆ LIRNIKA

Ostatni raz uderzył drzącymi palcami,
 Ostatni raz wydobył wszystkie swoje siły,
 Aż struna zajęczała różnemi tonami,
 Jakby pogrzebne dzwony, gdzieś w dali dzwoniły.

Tym wysiłkiem ostatnim lirnik zagrał sobie —
 Wyprężył prawą rękę, lewą twarz osłonił
 I umilkł w swej boleści, myśląc już o grobie —
 Przed obrazem przyszłości rękami się bronił...

Na chwilę podniósł głowę i spojrzał wokoło,
 Na lirze wzrok zatrzymał, na uśmiech się siłił,
 Spojrzał na stare drzewa, ku sąsiednim domom...
 I nagle ciężką głowę na piersi pochylił...

Już słońce zachodziło i złote promienie
 Rzucało na twarz starczą, na martwe powieki,
 Na siwą, długą brodę, na zdarte odzienie —
 Na lirę i lirnika, co już spał na wieki.

Władysław Miś Smoleński.

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO.

P. Harry Kolbow.

Miły i bezpretensjonalny wierszyk o wiośnie będziemy drukować. Zasadniczo, nie piszemy uwag o zakwalifikowanych do druku utworach. Byłby to całkiem zbyteczny komentarz. Proszę zatem przysłać więcej wierszy, nie krępując się ich rodzajem — nieaktualne przeczytamy z takim samym zainteresowaniem, jak wszelkie inne.

Za świąteczne życzenia — dziękujemy.

P. Władysław Miś Smoleński, Czortków.

Z dwu nadesłanych wierszy drukować będziemy „Śmierć Lirnika”, chociaż i „Orkę” moglibyśmy w ostateczności pomieścić w „Kolumnie Młodych Piór”. Nie uczynimy tego — ze względu na Pana. Stać Pana na lepszy sonet. Nie można w dzisiejszych czasach rymować tak banalnie (skibami, iskrami, rzędami, dziobami, — albo: czarnego, twojego, świętego). To raczej gramatyka, niż poezja!

Z drugiej strony, w poszukiwaniu rymu pakuje Pan tak niezgrabne wyrażenia jak: *Wrony kroczą za pługiem rozkosznie i mile(?)*.

Razi nas patos pańskich wyrażań, patos, w wierszu o tak prostym temacie — zupełnie niestosowny. Mówić o ziemi ornej: *Nieszczęsna! nie sprostała jego wielkiej sile* — to conajmniej przesada.

Sądzymy, że przychylił się Pan po głębszym namyśle do naszej opinii.

P. Jadwiga Fil.

Wszystko, co napiszemy o Pani utworach, będzie jeszcze za słabe. Żadne słowa nie oddadzą naszego przerażenia. W interesie bliźnich swoich winna Pani przestać pisać i to natychmiast! Nigdy jeszcze nie mieliśmy do czynienia z grafomanją w tak czystej postaci. Wstyd nam poprostu przytaczać wyjątki. Znaliśmy wprawdzie owe „Kwiaty Szczęścia i Miłości”, „chóry Skrzydlatych Piewców”, owe „boginki—Wiosny” — ale nigdy w takim zgęszczeniu. Trzy pierwsze utwory („U progów 3-go Maja”, „Wiosna” i „Wielkanocne Wspomnienia”) są dziwaczną mieszaniną zasłyszanych frazesów, gazetowych zwrotów i własnej pustki, przeraźliwej, nieznośnej pustki.

Szczytem wszystkiego są „Złote (?) Myśli”. Jakim sposobem doszła Pani do wniosku, że: „*Najwyższą rozkoszą na świecie jest boska Nirwana*” albo że: *Mądrość jest latarnią magiczną, wiodącą do stóp Astralu*, lub też, że: *Tylko dusze jasne, jak słońca i białe, jak lilje zdołają Sferę Siódmą*.

Wątpimy mocno, czy rozumie Pani znaczenie słów: Nirwana i Astral. Jesteśmy jednak zupełnie pewni, że sama Pani nie wie, co znaczy „Sfera Siódma”. Zdania te — wyraźny zlepek przeczytanych i niezrozumianych słów ze zwrotami zapożyczonymi z książek — same przez się nie mają zupełnie sensu.

O wierszach „Tęsknica” (oczywiście!) i „Z tajemnic Duszy” wolimy nie pisać. Podczas czytania zdań w rodzaju: *Rozkosz Nadziem-ska wskazała na mnie palcami...* — jak mówi poeta — najpierw ogarnął nas śmiech pusty, a potem litość i trwoga.

Niech się Pani na nas nie gniewa. Krytyka jest ostra, ale jesteśmy pewni, że tym razem zupełnie sprawiedliwa.

Póki czas, proszę posłuchać naszej życzliwej rady i zupełnie przestać pisać.

P. Bronisław Miazgowski, Brody.

Nie mamy Panu, oczywiście, za złe zbytnej „rozwlekłości ty-rady”, którąśmy wydrukowali, mimo, iż zależałyby się jej porządne skróty.

Inne jest nasze zdanie o wierszu „Dziś my już tacy”.

Gdyby Pan był na naszym miejscu i przeglądał wszystkie nadsyłane nam wiersze, znalazłby Pan wiele podobieństw i wspólnych cech, charakteryzujących twórczość młodego pokolenia. Nie używamy mocnego słowa „zakłamanie”, bo z pewnością większość autorów ma dobre intencje, ale wyraz ten wbrew woli ciśnie się „pod pióro” mniej lub więcej bezstronnemu krytyce. Zawsze te same wyrazy: „mocarny” (rym „ofiarny”), „tęsknica” (straszne słowo), „wyżyny” (rym do „czynów”), zawsze podobne wyrażenia: „wykuwać czyny”, „szare życie”, „czara trucizny” i t. d. Drogi Panie, w tych, że tak powiemy, warunkach najzdrowsza, najpiękniejsza nawet myśl ginie i jałowije.

Sama forma poetycka Pańskiego wiersza jest niezręczna. Można było to samo napisać strofą t. zw. „saficką” czterowersową z ostatnim wierszem krótszym). Wybrał Pan jakąś dziwną i niepraktykowaną (co nie jest zresztą błędem) formę.

Pozatem wiersz Pański roi się od niefortunnnych wyrażań w rodzaju: „*Zanim przybierze realne lice()*”, lub „*Lecz już niezdolne wykuwać czyny*”. W rezultacie niewiadomo jakie jest prawdziwe oblicze Pańskiego pokolenia.

Nigdy nie przestaniemy powtarzać Panom: więcej prostoty

H U M O R

— Panie, ten list jest zaciężki, proszę przykleić jeszcze jeden znaczek.

— Przecież, panie pocztmistrzu, jak przykleję jeszcze jeden znaczek, to list będzie jeszcze cięższy.

* * *

— Chłopcze, ile masz lat?

— W zeszłym roku miałem jedenaście, a w tym to mam tylko dziesięć.

— Jakże to być może?

— Bo jak zostałem na drugi rok w pierwszej klasie, to tatuś mówił, że straciłem rok.

* * *

Nauczyciel: — Czy możesz mi powiedzieć, co to jest cywilizacja?

Uczeń: — Choroba niebezpieczna dla niedźwiedzi.

Nauczyciel: — Skąd ci to do głowy przyszło?

Uczeń: — A bo pan profesor mówił, że w ostatnich wiekach cywilizacja się bardzo rozwinęła, w skutek czego wiele dzikich zwierząt, a między innymi i niedźwiedzie wyginęły prawie doszczętnie.

* * *

— Jakie jest najdroższe zwierzę?

— Słoń.

— Dlaczego?

— Bo ma wszystkie kości z kości słoniowej.

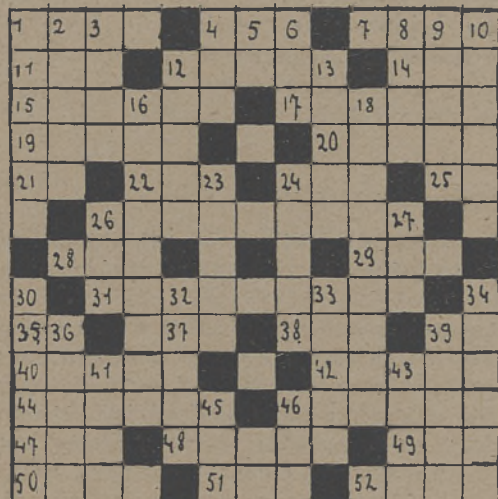
* * *

Dział rozrywek umysłowych

KONKURS DOMYSLNOŚCI.

W tekście niniejszego numeru umieszczono 3 zdjęcia. Rozwiązanie polega na odgadnięciu, co to są za gmachy i w jakim znajdują się mieście. Nagroda — „Żywe Kamienie” Wacława Berenta.

KRZYŻÓWKA.



ZNACZENIE WYRAZÓW.

Poziome: 1. Miasto w Italji, 4. Bóg wiatrów, 7. Ślad, 11. Owad, 12. Miasto we Francji, 14. Port w Finlandji, 15. Matka Apollina, 17. Brat Polluksa, 19. Rodzaj rozporządzenia, 20. Mineral, 21. Zaimiek, 22. Polskie zrzeszenie artystyczne, 24. Papuga, 25. okrzyk bólu, 26. Żona Solimana II znana z historii, 28. klej, 29. Inaczej: wyrabia tkaniny, 31. Wódz macedoński, pogromca Spartan, 35. Rzeka w Europie (wspak), 37. Rzeka w Rosji, 38. Inaczej: kładz na wagę (wspak), 40. Utwór muzyczny, 42. Bezgłos, 44. Słynny fizyk francuski, 46. Obrządek, 47. Wschód w obcym języku, 48. Przybranie sukni, 49. Bryła lodu, 50. Cel (wspak), 51. Torba, 52. Słynny mechanik i wynalazca angielski.

Pionowe: 1. Zasłona, 2. Mała wioska, 3. Tkaniny służące za poślanie, 4. Okres czasu, 5. Złoto w obcym języku, 6. Substancja do pieczętowania wyrabiana z żywicy, 8. Część splety, 9. Budynek gospodarski, 10. Racja — pewna ilość jedzenia, 12. Zabytek przeszłości, stary przedmiot, 13. Wyświęcenie kapłana, 16. Coś strasznego!, 18. Bożek słowiański, 23. Popiersie (wspak), 24. Stop, 26. Matka Zeusa, 27. Miarą powierzchni używana w Anglii, 30. Żona Nerona, 32. Ładunek (n-ń), 33. Historyk rzymski, 34. Godność duchowa, 36. Założyciel dynastji polskiej, 39. Szatan, 41. Znakomity ród włoski, 43. Zwierzę domowe (samica), 45. Zbiorowisko drzew, 46. Okres czasu.

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 5-go czerwca.

Na kopercie obok adresu dopisywać należy „Rozrywki umysłowe”.

Na nagrodę za rozwiązania powyższych zadań przeznacza Redakcja książkę St. Żeromskiego „Syzyfowe Prace”.

ZADANIE KRAJOZNAWCZE.

1. Jakie miasto wojewódzkie leży najbliżej najstarszych gór w Polsce?
2. Które miasto wojewódzkie jest najstarsze, a które najmłodsze?
3. Które miasto wojewódzkie ma w promieniu 20 km. największą ciekawych pod względem krajoznawczym miejscowości?

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU 5 i 6.

(Ciąg dalszy).

KRZYŻÓWKA.

Znaczenie wyrazów: poziome: 3. pole, 5. apel, 7. rano, 8. na, 10. wart (wspak), 11. kran, 12. tynk (wspak), 13. Karpaty, 16. ob (wspak), 17. staw, 18. utyć;

Pionowe: 1. port, 2. mewa, 4. lady, 5. ar, 6. pani, 9. odegrać, 10. tartak, 13. atak (wspak), 15. auto, 19. wy (wspak), 20. tato (wspak).

UKŁADANKI SZARADOWE.

1. Sportowiec, 2. Sternik, 3. człowiek.

BILETY WIZYTOWE.

1. bednarz, 2. podskarbi, 3. katarzyniarz.

Konkurs dla znawców poezji.

1. J. Słowacki: „Na sprowadzenie zwłok Napoleona”. 2. K. Tetmajer: „Słońce”. 3. Z. Krasiński: „Przedświt”. 4. J. Słowacki: „Testament mój”. 5. W. Pol: „Obraz cudowny”.

* * *

SZARADA.

„Matematyka”

LOGOGRYF.

„Sternik”.

Wyrazy pomocnicze: 1. skorpion, 2. Tolstoj, 3 eponim, 4 rysak, 5. nikiel, 6. indolog, 7. ksylofon.

Z pośród rozwiązań zadań z numeru 5 wylosowano do nagrody rozwiązanie p. J. Podworskiego z Warszawy, z numeru 6 p. Z. Stefczykówny z Tarnopola. W nagrodę otrzymują książki. P. Podworskiego prosimy o przybycie do naszej redakcji po odbiór nagrody.

„STERNIK” WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK”, Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.